Nr. 125. Lwów. — Niedziela dnia 1 czerwca **Rok 1890.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1·10 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Dwumiesięcznie 2·10 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Kwartalnie 3·— „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie 12·— „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują:
Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2
„ przy ulicy Karola Ludwika liczba 5.
„ „ „ Jagiellońskiej liczba 4.
„ „ „ Słowackiego (obok łazienek Diany)
Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 6

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: E. 1 po Św. św. Trójcy. Jutro: Erazma B. | Adres Redakcji i Administracji: **ulica Sykstuska l. 45.** | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 11, Zachód „ 7 „ 45 | Długość dnia 15 g. 34. Przybyło dnia 2 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 31 maja.

Znowu leży przed nami sprawozdanie z rozmowy z Bismarkiem, ale tym razem nie znajdujemy w niem prawie nic nowego. Nie wiemy, czy Bismarkowi, czy też — co prawdopodobniejsze — korespondentowi paryzkiego *Petit Journal* szło o zrobienie przyjemności Freycinetowi i Constansowi, dość, że były kanclerz niemiecki zachwycał się energją, zdolnościami i „nieraz zdumiewającą“ pomysłowością tych panów. Bismarka we Francji bardzo nie lubią, niemniej jednak pochwała jego podniesie w oczach Francuzów obu szefów teraźniejszego gabinetu. Nam się zdaje, że po to jedno jeździł do Friedrichsruhe korespondent *Petit Journalu*, aby wywieźć stamtąd komplimenta dla naczelników stronnictwa rządowego w Paryżu. Wszystko inne, co Bismark mówił, jest stare i nieciekawe, choć długie, bo potrącił o wszystko. Były na placu trzy wojny pruskie i tu się okazało, że po duńskiej nie chciał brać Bismark Szlezwiku, jak po austrjackiej nie chciał osłabienia Austrji, a po francuskiej wzdrygał się przed zaborem Metzu. Legendę o zamiarze Niemiec wojowania z Francją w r. 1875 nazwał Bismark — jak dawniej — wymysłem Gorczakowa, który obałamucił i nastraszył ówczesnego ambasadora republiki w Petersburgu, pana Gontaut-Birona. „Wiem o co szło Gorczakowowi — rzekł były kanclerz — i otwarcie powiedziałem to Aleksandrowi II. Chciał on mieć w Paryżu swój pomnik ze skrzydłami przypiętemi do pleców. Aleksander II zaśmiał się i rzekł: „No, czyż on taki próżny?“

„Nie, nie! — mówił dalej kanclerz — dość miałem wojen i żadnej więcej nie chciałem. Ani skrawka więcej francuskiej ziemi, ani Belgji, ani Niemców austrjackich, ani nadbaltyckich, ani wreszcie i najbardziej Polaków! Uchowaj nas Boże od takich zdobyczy! Wierzę, że po moim upadku niejeden Niemiec, niejedno nasze stronnictwo zawołało: „uf!“ jak gdyby mu ciężki kamień spadł z piersi, bo kto długo był ministrem, ten musi mieć dużo wrogów, niemniej jednak jestem popularny. A głównie dla czego? Bo każdy Niemiec wie, że unikałem wszelkiej, nawet najmniejszej wojny. Jesteśmy nasyceni i silni. Bałkański wschód nic nas nie obchodzi. To sprawa z jednej strony rosyjska, z drugiej: austrjacka, włoska i angielska. Sytuacja nasza jest jasna. Ja ją stworzyłem, ugruntowałem, przybiłem gwoździami znanych sojuszów. Tu nie ma nic do zrobienia, ani przerobienia. Caprivi ma rzecz gotową, przeformować jej nie może, zepsuć nie zdoła. Żałuję go tylko, że będąc doskonałym jenerałem, bodaj najlepszym między naszymi, wszedł w ciemny dłań labirynt spraw administracyjnych i politycznych. Nie rozumiem jak można się dziwić, że cesarz ze mną się rozstał. Jestem za stary dla niego, on lubi podróże, ja w nich udziału brać nie mogłem, więc on był ciągle otoczony innymi ludźmi, a trzeba wiedzieć, że jest bardzo wrażliwy. Miałem wrogów, jużem to panu powiedział... Lecz nie mam żalu do cesarza, to mi jeno przykro, że otwarcie mi nie powiedział: ruszaj sobie!.. Ma on swoje idee i chce je przeprowadzić, bo sądzi, że przez to uszczęśliwi swój lud, a ja jużem się pozbył mrzonek, więc trudno nam było pracować razem. Ale dzielny to człowiek. Patrzę na niego, jak ojciec, tęgo wygrzmocony przez syna. Boli tego ojca, że go syn wybił, ale jednocześnie mówi do siebie z zadowolnieniem: „Dzielny chłopak!“... Co do mego życia... nudne jest ono. Po czterdziestu latach pracy politycznej trudno odrazu zasmakować w hreczkosiejstwie. Włóczę się po parku, po lesie, miejsca sobie nie znajduję...“

Oto wszystko, co warto było wynotować z długiej spowiedzi Bismarka przed korespondentem *Petit Journalu*. Widzą tedy czytelnicy, że jest ona wcale nieciekawa, a łatwo spostrzedz, że i nieszczera. Może prawdę mówił, ale to, czego nie mówił, byłoby tę prawdę przedstawiło w cokolwiek innem świetle. Np. weźmiemy sprawę wschodnią. Jest ona Hekubą dla Niemiec — to wyrażenie utarte, a przecież właśnie Niemcy obsiadły Turcję, jak gąsienica obsiada owocowe drzewo. W wojsku tureckiem, w służbie cywilnej, w ministerjum skarbu, we wszystkich państwowych przedsiębiorstwach, wszędzie pełno Niemców, pożyczonych sułtanowi przez Bismarka. Nie jest że to pokojowem zawojowywaniem Turcji, na co gorzko skarżą się Rosjanie? Byłoby łatwo wytknąć Bismarkowi inne nieszczerości, gdyby to, co mówił, miało jaką wartość, prócz wspomnień i życzenia rehabilitować się przed współczesnym światem. Niech się myje!

My tymczasem podamy tu epizod, świadczący o wielkiej przyjaźni między Włochami a Niemcami. Włóczył się długo po Genui bez zajęcia jakiś Niemiec Janzer, nareszcie dostał posadę mundanta w niemieckim konsulacie i pewnego dnia z miną tryumfującą przyniósł swemu zwierzchnikowi plany twierdzy genueńskiej, mówiąc, że sam je zrobił, bo jest inżynierem. Jakież było jego zdumienie, gdy konsul go zgromił! Wszakże za takie rzeczy zwykle dają order i awans. Zgromiwszy Janzera, konsul doniósł o wszystkiem do Berlina, skąd przyszedł rozkaz nierozpatrując się w planach, oddać je władzy włoskiej. Tak się też stało. Włosi zarządzili śledztwo, które wykryło, że Janzer wcale nie robił tych planów, lecz kupił je u podręcznego urzędnika w biurze zarządu wojskowego. Urzędnik ten poszedł do kozy, a Janzer zbiegł do Szwajcarji.

Owóż jest dowód ujmującej przyjaźni Berlina dla Włoch. Berlin dziękuje bogowi złodziei, że dał sposobność okazać tę przyjaźń, która nic nie kosztuje, bo po co Niemcom plany genueńskiej twierdzy? Gdyby Janzer skradł plan Kronsztadtu, ale Belfortu, to co innego; wówczas te plany leżałyby w biurze hrabiego Walderseego, a Janzer nie potrzebowałby szukać schronienia w Szwajcarji, lecz miałby order i awans.

Skończył się proces Panicy. Sprawiedliwość zrobiła, co do niej należało, i poczucie etyczne nic, naszem zdaniem, nie może zarzucić jej wyrokowi. W państwie młodem, otoczonem tylu trudnościami, bardzo niebezpiecznemi dla życia narodu, trzeba surowo karać wszelkie politykowanie na własną rękę, zwłaszcza, gdy ono się skojarzyło z zamysłem, należącym do pospolitych zbrodni.

Ale teraz ze swem słowem wystąpią względy polityczne. Główny cel procesu osiągnięty. Zerwano maskę z tych szkodników, których sprawiedliwość dosięgnąć nie może. Tem się zadowolnić należy. Śmierć głównych oskarżonych nie przyniesie korzyści idei narodowej bułgarskiej, a więc i rządowi, który tę ideę tak pięknie reprezentuje. Ułaskawienie, idące jak najdalej, będzie akcją rozumną i wspaniałomyślną. Liczni krewni i przyjaciele Panicy nie powinni widzieć w nim ofiary. Niech odejdzie w spokoju i świadczy sobą, swą nędzą moralną, jak potworną jest rzeczą spiskowanie przeciw ojczyźnie.

Proces Panicy.

Sofja 29 maja.

Wielki ten proces dobiega do końca; trybunał odbywa właśnie naradę nad wymiarem kary i za kilka godzin ogłosi swój wyrok.

Obrońca Chałupkowa, adwokat Makedoński, w wywodzie swoim ostatecznym starał się wykazać, że Chałupków żadnej zbrodni nie popełnił, bo ani jeden świadek nie potwierdził, że korespondencja jego z Jacobsonem odnosi się do Bułgarji. Zresztą ani Chałupków, ani Jacobson nie są poddanymi bułgarskimi i wolno im do siebie pisać, co im się podoba. Korespondencja ta — zdaniem obrońcy — odnosi się tylko do Macedonji, i nic dziwnego, że Chałupków starał się pozyskać dla tej sprawy Panicę, który cieszy się wielką popularnością między Macedończykami.

Prokurator w replice swej przypomniał, ile to trudów kosztowało Bułgarję, zanim zdołała po brutalnem uwięzieniu Aleksandra ks. Battenberga wyszukać sobie odpowiedniego księcia. Gdyby i tego księcia spotkał był taki sam los jak księcia Aleksandra, natenczas położenie Bułgarji byłoby bardzo opłakane.

Po obrońcach przemawiali jeszcze oskarżeni. Chałupkow do końca zachowywał się zuchwale, a w ostatniem swem przemówieniu pozwolił sobie osobistych wycieczek przeciw sądowi, za co mu przewodniczący głos odebrał. Chałupkow pełen gniewu zwrócił się do sekretarza poselstwa niemieckiego, wzywając go o interwencję; ale ten oświadczył mu, że każdy oskarżony powinien być posłusznym przewodniczącemu.

Panicę w ostatnich dniach opuściła pierwotna buta; zachowywał się przyzwoicie, a w krótkiem swem przemówieniu ostatecznem prosił sędziów, aby kierowali się sumieniem, jeżeli uznają, że on zasłużył na śmierć — to niech go na nią skażą.

P. L.

Wyrok trybunału podaliśmy już wczoraj pomiędzy telegramami. Panica skazany został na śmierć, równocześnie jednak uchwalono polecić go księciu do ułaskawienia na 15 letnie więzienie, Chałupków skazany na 9 lat, Arnaudów i porucznik Rizow na 6 lat więzienia, a czterech oficerów na 3 laty twierdzy. — Resztę oskarżonych uwolniono.

Z krajowej Rady szkolnej.

Rada szkolna krajowa na posiedzeniu odbytem dnia 19 maja 1890:

1) Zatwierdziła nominację ks. Eljasza Kałamunieckiego na członka okręgowej Rady szkolnej w Rudkach;

2) zatwierdzono wybór ks. Aleksandra Bilinkiewicza i Romana kniazia Puzyny, na delegatów Rady powiatowej w Kołomyi, do tamtejszej okręgowej Rady szkolnej;

3) przekształcono filjalną szkołę w Uhrynkowcach na etatową, począwszy od 1 września 1890;

4) wyłączono gminę Siemiakowce ze związku szkoły ludowej w Białobożnicy i zorganizowano tam osobną szkołę parafijalną począwszy od 1 września 1890;

5) zorganizowano w Rogóżniku filjalną szkołę od 1 września 1890;

6) przyjęto do wiadomości sprawozdanie krajowego inspektora szkół, z lustracji seminarjum nauczycielskiego męskiego we Lwowie i wydano odpowiednie zarządzenia;

7) przyjęto do wiadomości sprawozdanie krajowego inspektora szkół z lustracji realnego i wyższego gimnazjum w Brodach i powzięto odpowiednie uchwały.

Sprawy krajowe.

Wczoraj po południu odbyła się czterogodzinna poufna narada w Gmachu sejmowym w sprawie krajowej akcji finansowej, którąby należało wdrożyć po zatwierdzeniu przez Radę państwa ugody indemnizacyjnej.

W tej naradzie wzięli udział wszyscy członkowie Wydziału krajowego, dyrektorowie Banku krajowego, poseł dr. Goldmann, dyrektor galic. Banku kredytowego dr. Z. Marchwicki i dyrektor gal. Kasy oszczędności p. Fr. Zima.

Pod obrady wzięto projekta konwersji długu indemnizacyjnego i unifikacji wszystkich długów krajowych, tak, aby bez podwyższania dodatku krajowego, uczynić gospodarkę krajową intenzywniejszą na polach produkcyjnych.

Celem dokładniejszego opracowania przedłożonych projektów wybrano subkomitet złożony z pp. Romanowicza i dra Alfreda Zgórskiego, a nad jego wnioskami odbędzie się powtórna poufna narada we wtorek lub środę przyszłego tygodnia.

* * *

Wydział krajowy udzielił kilku uczniom akademji górniczej w Leoben (w Styrji) jednorazowych zasiłków w kwocie po 30 złr. celem umożliwienia im wzięcia udziału w wycieczce naukowej, programem nauk akademji objętej a mającej za zadanie dać młodym górnikom poznać najważniejsze kopalnie w Styrji, Karyntji, Tyrolu, Czechach i Bawarji. Nazwiska tych uczniów są: Julian Fabiański, Maksymilian Miszke, Feliks Piestrak, Jan Sieniewicz i Konstanty Słotwiński.

Nadto przyznał Wydział krajowy zasiłek w kwocie 40 złr. p. dr. Franciszkowi Bandrowskiemu, asystentowi przy katedrze technologji chemji w szkole politechnicznej we Lwowie, na odbycie wspólnie z słuchaczami politechniki lwowskiej wycieczki naukowej do Pragi i Pesztu.

Równocześnie nadał Wydział krajowy stypendjum w kwocie 12 zł. miesięcznie Ksaweremu Popielowi, synowi włościańskiemu z Kniażego, który okazywał wybitne zdolności do snycerstwa i dzięki prywatnej pomocy dostał się do pracowni prof. Marconiego we Lwowie. Z pomocy stypendjum krajowego korzystać on będzie w roku bieżącym od kwietnia do września, w którym to czasie ma się udać do szkoły snycerstwa w Zakopanem, by się dalej kształcić w swym zawodzie. Na wypadek wypełnienia powyższego warunku wpisania się do szkoły zakopańskiej zapewnił mu Wydział krajowy przyznane stypendjum i na dalszy czas nauki.

List do Redakcji.

L. 5851.

Do
Szanownej Redakcji
„PRZEGLĄDU“
we
Lwowie.

List do redakcji w numerze 115 *Przeglądu*, zaopatrzony podpisem niejakiego Stefana Trzecieskiego, a mający być odpowiedzią na moje urzędowe sprostowanie zarzutów korespondencji z Dynowa w numerze 106 *Przeglądu*, mieści w sobie tyle zmyślonych i przekręconych dat, iż widzę się zniewolonym w interesie prawdy upraszać Szanowną Redakcję na podstawie artykułu II ustawy z 15 października 1868 Dz. p. p. Nr. 142 o zamieszczenie w jednym z najbliższych numerów następującego ponownego sprostowania.

Nieprawdziwem jest najprzód twierdzenie autora, jakoby w Dynowie w czasie trwania epidemji targi tygodniowe się odbywały. Targi te bowiem, jak urzędownie sprawdziłem, począwszy od 19 marca b. r. do dzisiaj ani razu się nie odbyły, a jeśli autor „Listu“ widział w dnie poniedziałkowe uwijających się po mieście wieśniaków, to byli to jedynie ludzie powołani na termina sądowe w poniedziałki się odbywające, lub stali dostawcy nabiału lub drzewa, którym trudno było wzbronić wstępu do miasta, zwłaszcza, że rozchodziło się głównie o niedopuszczenie większych zgromadzeń ludzi, w których i wzajemny kontakt jest silniejszy i kontrola ze strony organów bezpieczeństwa bardziej utrudnioną.

Zgromadzenia takie, a więc i jarmarki, zostały wzbronione rozporządzeniem z 19, doręczonem 20 marca b. r. Prędzej nie widziałem potrzeby tego w każdym razie dla ludności uciążliwego zakazu wydawać, gdyż ospa w lutym i początkach marca, tylko sporadycznie, nie epidemicznie, występowała i nie zachodziła bezpośrednia obawa jej rozszerzenia się; byłoby więc w danej chwili nieuzasadnionem wzbronienie jarmarku w dniu 3 lutego b. r., z którego odbycia autor niesłusznie bierze asumpt do zarzucania organom bezpieczeństwa zaniedbania obowiązków przez niedopilnowanie zakazu.

Rozporządzenie, o którem wspomniałem, zostało w każdej gminie ogłoszonem, a w Dynowie oprócz tego plakatami do powszechnej wiadomości podanem, każdemu zatem, a więc i autorowi „Listu“ musiało być ono wiadomem i nie powinno było go tak bardzo dziwić, że c. k. żandarmerja, spełniając swój obowiązek, jarmarku dnia 16 b. m. nie dopuściła.

Czemu przypisać należy, że ludność wbrew zakazowi na jarmark dążyła, wykaże zarządzone dochodzenie; prawdopodobnie nastąpiło to w skutek puszczenia w obieg mylnej pogłoski, iż zakaz cofnięto. Mija się jednak autor zupełnie z prawdą, utrzymując, że aż w 5 miejscach po za rogatkami miasta jarmark bez przeszkody się odbywał. Niezadowolniony widocznie, że jarmark nie odbył się w Dynowie, nie dojrzał on, iż wracające fury tylko chwilowo z powodu utrudnionego przejazdu się zatrzymywały, nie zaś dla jarmarczenia, o którem już z tej prostej przyczyny mowy być nie mogło, iż na gościńcu nie było ku temu miejsca, a tuż za gościńcem są rowy i obsiane pola. Niemożliwość tego dowodzi i ta okoliczność, że w skutek interwencji c. k. żandarmerji wszyscy wracający, już koło 10-ej zrana, nie stykając się bliżej, do domów się rozjechali.

Zkąd dalej autorowi „Listu“ tak dokładnie wiadomo, iż domokrążcy masami po wsiach się wałęsali, nie wiem; o tym rzekomym fakcie przynajmniej organom publicznego bezpieczeństwa, od których zażądałem wyjaśnień, nic nie wiadomo, i nie jest on prawdopodobnym w obec tej okoliczności, iż po wsiach znanym był zakaz kupczenia z domokrążcami. Uderza jednak, iż autor „Listu“ tak bardzo utyskujący na rozwleczenie ospy przez włóczęgów, sam właśnie nie poczuł się do najprostszego obowiązku postarania się o to, by „żebrząca we dworze cyganka z dzieckiem chorem na ospę“ została przytrzymaną i nie zawlekła ospy dokąd indziej.

Zaprzeczyć następnie muszę stanowczo, jakoby c. k. Starostwo dopiero z początkiem kwietnia b. r. limfę lekarzowi do Dynowa posłało, tudzież by w Laskówce do 20 maja b. r. szczepienia i rewakcynacji nie przedsięwzięto. Nieprawdziwość tych twierdzeń wykazują urzędowe daty, gdyż do Dynowa wysłano krowiankę 3 stycznia, 20 marca, w kwietniu i maju, w ilościach dostatecznych do przeprowadzenia szczepienia i rewakcynacji, a szczepienie w Laskówce odbyło się 9 kwietnia b. r.

W końcu nie jest prawdą, by Starostwo w roku ubiegłym zamykało targi bydlęce w całym powiecie, skoro zaraza bydlęca „na jednym krańcu powiatu“ się pojawiła. Z zawieszaniem targów postępowano bowiem bardzo ostrożnie i zamykano je tylko w tym okręgu sądowym, gdzie zaraza grasowała, co było rzeczą konieczną i ustawami wskazaną.

Jeden porównawczy rzut oka na powyższe wyjaśnienia urzędowe a daty „Listu“ wykazuje, iż autor tegoż o jednych faktach przemilczał, inne zmyślił lub podał odmiennie, że więc nie powodował się miłością prawdy, ale tendencyjnie nadużył dobrej wiary czytelnika. Tendencyjność ta przebija się i w przytoczeniu anegdotki z czasów dawniejszych, mającej niby charakteryzować postępowanie c. k. Starostwa i we fakcie, nie wiem o ile prawdziwym, o wybiciu aż 6.000 sztuk nierogaciżny, które jednak miało zajść w gminie Futomie innego, bo rzeszowskiego powiatu i nie dotyczy wcale stosunków tutejszego powiatu, o czem autor przemilczał.

Brzozów, dnia 27 maja 1890.

C. k. starosta: *A. Dzieduszycki.*

Dopisek od Redakcji. Ustawa prasowa zakazuje nam zmieniać cokolwiekbądź w sprostowaniach nadsyłanych z urzędu, wykreślać z nich lub wstawiać coś swojego. Z tego powodu zostawiliśmy owo wyrażenie: „niejakiego Stefana Trzecieskiego“. Powstrzymać się jednak nie możemy od wyrażenia zdziwienia, że p. starosta brzozowski nie zna największych właścicieli dóbr w swoim powiecie.

---

8)

Aż do zgonu.

Powieść

przez

SAS-ŁADĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Widzi pan — zwróciła się do pana Mieczysława — musiałam przyjechać, ażeby zmieniać kupony, bo pieniądze potrzebne na sianokosy i żniwa. Samej wszystko robić, to najlepiej, taka moja dewiza. Bo choć pocztą można, nużby poczta zgubiła? I teraz mam gotówkę, znaczniejszą nawet przy sobie. Radzili mi w hotelu zostawić, czy ja znam właściciela? Trochę mi to zawadza, ale wolę niewygodę, niż niepokój. Przywykłam ludziom niedowierzać: gotowi obedrzeć, a potem jeszcze się śmieją, radzi, że im się udało. Gdyby każdy pilnował się jak ja, byłoby lepiej.

I oglądając się, dodała:

— Ładnie tu w tym waszym parku, lecz nie tak, jak u mnie!

— Prawda pani? — potwierdziła Jadwiga, oczy jej błysnęły — nie ma nic nad wieś piękniejszego! Ja tak pojmuję pani zachwyty, bo sama za wsią tęsknię, pomimo, żem miała czas do miasta przywyknąć.

Klasnęła w ręce pani Marja.

— Jakże cię za to kocham, moje dziecko — zawołała. Myślałam, że się pogniewacie na mnie za wasze miasto, które śmiem krytykować. Niepoprawna ze mnie wieśniaczka, gdzieindziej nie pojmuję życia... Czy często bywasz w Wierzbnie, co lato pewnie?

— Urzędowanie w mieście mnie więzi — za córkę odpowiedział pan Mieczysław. Nie była tam od śmierci opiekunki. Tyle wspomnień bolesnych dla niej w Wierzbnie, że bałbym się wzruszenia. Pani nie ma pojęcia, jaka ona czuła, dobra, kochająca. Gdyby nie stary ojciec i przekonanie, że mu jest potrzebną, nie wytrzymałaby w mieście.

Jadwiga rękę ojca podniosła do ust w milczeniu, a gdy pani Marja na nią spojrzała, zobaczyła łzy w zielonych oczach.

— Piękna i dobra — pomyślała — to rzadko idzie w parze, i głośno dodała:

— Któż w Wierzbnie gospodaruje?

— Krewny nieboszczki. Życzyła sobie, żeby tak było do pełnoletności wnuczki, lub jej zamążpójścia.

— Musiała babka zostawić kapitały? — badała dalej.

— Tak. Zostawiła gotówkę.

— Hm, gotówka, rzadka rzecz w tych ciężkich czasach! Konkurentów pewnie nie brak? A może już?...

Zrobiła ruch, jakby pierścionek na palec wkładała.

Jadwiga głową potrząsła.

— Wie pani. Tacy, którzy na posagi polują, nie są w moim guście.

— Któż mówi!? — odrzuciła żywo pani Marja. Dosyć, żeby ciebie ktoś poznał, a pewnie o pieniądzach zapomni, chybaby serca ani oczu nie miał. Nie to chciałam powiedzieć, przepraszam. Majątek nic nie psuje — myślałam — i niejeden sobie mówi: ożeniłbym się, ale mnie nie stać. Otóż posag wszystko ułatwia, a w trudnych naszych czasach, naturalnie, przydać się może... Powiem ci nawet moje dziecko, że nie dziwię się, gdy mężczyzna ogląda się za posagiem... Potępiam tylko żeniących się jedynie dla majątku, ale tu mowy być o tem nie może. Czyżeś niegodna miłości? A jeśli mężowi oprócz osobistych przymiotów przyniesiesz i wiano, tem lepiej! Nie dziwiłoby mnie gdyby wielu ubiegających się znalazło...

— Lubisz wieś zatem, i życie na wsi? — spytała.

— Bardzo. Nic dziwnego, pani. Wychowałam się na wsi. Pokochałam lud, życie wiejskie i zajęcia, których nie mam w mieście. Zdaje mi się, że tam użyteczniej czas schodzi, więcej żyje się dla drugich. W Wierzbnie przynajmniej tak się żyło.. sądzę, że wszędzie jednakowo być musi, nieprawdaż?

— Czy wszędzie, to inna kwestja, ale że na wsi można, gdy się chce, być użyteczniejszą, niż tutaj, nie podlega wątpliwości. Zakres działalności przechodzi tam o wiele czynność zwykłą, miastową, a gdy jeszcze ma się do pomocy tak poczciwe upodobania, jak twoje, moje dziecko, to już grzechem byłoby życie kwasić w mieście i spędzać je tutaj... Trzebaby ci koniecznie na męża wieśniaka... Ale pan możebyś się sprzeciwiał jako ojciec? Zięć, gospodarz, zabrałby daleko córkę, smutnoby panu było zostać samemu.

I badała go niespokojnemi oczyma.

— Szczęście Jadwisi u mnie na pierwszem miejscu. Znam dobrze jej upodobania i charakter — odrzekł poważnie. Zresztą zostawię jej wybór, swobodę zupełną — weźmie kogo zechce, a na mnie nie potrzebuje się oglądać.

— O, tatku!.. — z wyrzutem szepnęła Jadwiga.

On ciągnął choć ze smutkiem:

— Sprzeciwiać się nie będę, gdy zrobi wybór. Już teraz przygotowuję się na to, co nastąpić musi. Los to wspólny wszystkim ojcom i matkom, ażeby pozostać na starość samym i pocieszać się szczęściem dzieci jedynie, po stracie wszelkich radości życia!..

— Ja ojca nigdy nie opuszczę! — zawołała córka.

— Prawdziwie? — spytała pani Marja.

Pan Mieczysław dał jej znak. Zrozumiała. Powtórzyła raz jeszcze:

— Idź za gospodarza. Nie ma jak życie na wsi!..

— Nikt nie jest mocen pokierować swoim losem — odrzucił pan Mieczysław. — Byle znalazła godnego siebie, byle ją kochał. I tu są ludzie uczciwi.

— Niezawodnie!

A po chwili dodała ze zwykłą sobie żywością:

— Gotowam wyswatać córkę pana, jeśli nic nie będziesz mieć przeciw temu... — i zaśmiała się, jak z wesołego żartu.

Rozstali się w najlepszej przyjaźni.

Pani Marja przy pożegnaniu zapowiedziała na jutro swoje odwiedziny u państwa Mieczysławów, utrzymując, że tak pokochała Jadwisię, że pragnęłaby módz się nią nacieszyć, póki czasu stanie. I choć zazwyczaj śpieszyła się do domu, postanowiła trochę dłużej we Lwowie zabawić. Snuła już plany.

Ruchliwa jej wyobraźnia nie miała nigdy spokoju. To też teraz poznawszy Jadwisię, bardzo się nią zajęła.

I coraz serdeczniejsze stawały się stosunki: pani Marja wypraszała sobie pannę do teatru, do miasta po sprawunki, pod pozorem, że sama bardzo nie lubiła plątać się między ludźmi.

Odgadła nie bez wielkiego trudu, bo Jadwiga nigdy się nie skarżyła, że dla pięknej panny nie było zbyt wesoło w domu macochy, i na tem swoje oparła projekty.

Jej zamiary zresztą tchnęły życzliwością, ale niezupełnie były pozbawione samolubstwa, jeśli można tak zwać dobre chęci tyczące się własnej familji; do szczerej przyjaźni dla Jadwigi przyłączyły się i inne zaprzątnienia. W duchu rozważała: czyby nie dobrze się złożyło, gdyby Jadwigę można wydać za siostrzeńca?

Uszczęśliwiłaby dwoje ludzi, a ze siebie zdjęła wielce kłopotliwe zadanie ożenienia tego, który w jej oczach zawinił jedynie lekkomyślnością i nieszanowaniem grosza.

Raz pojąwszy żonę, ustatkowałby się pewnie, nauczył domu pilnować, rozmiłował się w pracy i nie latał po świecie za tem, czego nie zgubił. Piękna, miła żona niezawodnie ten cud by sprawiła.

I siostra i ona odetchnęłyby wreszcie.

Wzgląd był bardzo poważny, a dziwić się trudno, że miała swoje widoki i rachuby.

Nie potrzebowała do namysłu zbyt długiego czasu, u niej wszystko szło prędko i działo się na poczekaniu. Żywa, energiczna w mgnieniu oka więcej dokonywała, niż inna w ciągu miesiąca. Należała do tych istot, w których myśl wre i kipi, a od myśli do czynu krok tylko.

Nieraz w chwilach wolniejszych, gdy oglądała się za zajęciem, którego zawsze jej czynna natura potrzebowała, zazdrościła tym, co powolne i ciężkie, są w stanie liczyć bieliznę przez cały dzień wielki, dwa tygodnie rozmyślać nad jedną suknią, a trzy miesiące rozmawiać o tej samej plotce. Dla niej czasu zawsze było za dużo, a za mało pracy, wiecznie pragnęła jej, gdy nie znachodziła gotowej pod ręką, nudzić się zaczynała i sztuczną bodaj stwarzała.

Teraz całkowicie zaprzątała ją myśl wyswatania Jadwigi. I nie bez skrytej intencji wychwalała przed nią wiejskie rozkosze, przyzwyczajała do nadziei wyjścia za gospodarza.

Piękna panna w końcu sama się przyznała, że to odpowiadało w zupełności i jej marzeniom o szczęściu.

(C. d. n.)

Z Izby sądowej.

Wadowice 29 maja.

Późnym wieczorem ukończono wczoraj przesłuchanie obwinionych i rozpoczęto postępowanie dowodowe, przywołując przed trybunał świadków. Równocześnie złożono w izbie sądowej, jako „corpora delicti“: kamienie znalezione w pomieszkaniu adwokata bialskiego dr. Ichheisera i w szynku Schlittermanna, siekierę i flaszki próżne lub wódką napełnione. Pierwszym z przesłuchanych świadków był inspektor bialskiej policji p. Ryszard P l u c h a r. Zeznał on pod przysięgą, że już z początkiem kwietnia br. dostrzegał u robotników fabrycznych Biały oznaki pewnego rozdrażnienia, a chociaż mimo usilnych starań nie mógł świadek wyśledzić przyczyny tego rozdrażnienia, to jednak miał poszlaki. iż wywoływały je pokątne agitacje z zewnątrz pochodzące. W skutek tych agitacji robotnicy bialscy już na tydzień naprzód przed rozruchami gromadzili się licznie na narady, strzegli pilnie tajemnicy powziętych na tych naradach uchwał — gdy jednak zachowywali się zresztą spokojnie, policja nie miała powodu występowania czynnie przeciw owym pokątnym konwetyklom, lecz pilnie za niemi śledziła. Zgromadzenia stawały się z każdym dniem liczniejszemi i burzliwszemi, lecz dopiero dnia 23 kwietnia na rynku bialskim zgromadziło się przeszło 1000 osób. Tłum ten wzywał świadek do rozejścia, lecz naprożno.

Na wezwania odpowiadano szyderczym śmiechem i okrzykami: Hurra, hetmanem zaś tego tłumu był obw. Bergmann, który z flaszką wódki w ręku przemawiał do robotników i zdawał się nimi przewodzić. Słów Bergmanna świadek nie mógł słyszeć, bo stał za daleko, widząc jednak, że tłum pod komendą Bergmanna ciągnie ku Lipnikowi, pospieszył zawiadomić o tem starostwo i komendę wojskową.

Wskutek tego uwiadomienia wyruszyło zaraz wojsko a z niem świadek do Lipnika, gdzie już, robotnicy przed domem Korna dopuszczali się ekscessów i na nadciągające wojsko rzucali flaszkami, polanami drzewa i kamieniami. Wskutek tego dowódca wojska był zmuszony zakomenderować: Ognia, co wedle sumiennego przeświadczenia świadka było koniecznem, bo bez użycia tego środka byliby robotnicy z pewnością wojsko rozbroili i większych ekscessów dopuścili się. Strzelanie trwało krótko, co najwięcej przez trzy minuty, bowiem najpierw dano salwę ogólną, następnie zaś strzelano pojedyńczo. Skutek tego był doraźny, tłumy rozbiegły się szybko, pozostawiając na placu trzech zabitych i 14 ciężko rannych. Wtedy była to już godzina ósma wieczorem i tak ciemno, że prawie było niepodobnem rozpoznać twarze ekscedentów. Świadek zauważył jeno, że w tłumie było wielu zupełnie pijanych a najlepszym tego dowodem to, że z placu rozruchów przywieziono do szpitalu wielu jako zabitych, gdy oni byli zupełnie zdrowi i po wytrzeźwieniu się na drugi dzień powrócili do życia.

W obec tych zeznań świadka P l u c h a r a obstaje obw. Bergmann przy pierwotnem zeznaniu, iż nie on to przywodził tłumom i flaszki z wódką w ręku nie trzymał.

Z kolei przesłuchany drugi świadek A m b r o ż y E r b s t e i n, wachmistrz żandarmerji, powtarza opowiadane już przez Pluchara zdarzenia, lecz z obwinionych prócz Wojciecha Szlapki żadnego poznać nie może. Tłumaczy się on, że w ciemnościach nie mógł dokładnie przypatrzyć się tumultantom a nawet przez siebie i swoich podkomendnych aresztowanym, zagrodzić zaś niemógł drogi posuwającym się do Lipnika tłumom, albowiem, zanim nadbiegło wojsko, miał pod swoją komendą tylko trzech żandarmów.

Trzeci świadek Franciszek S c h l i t t e r m a n n utrzymuje szynk w domu Jakóba Grossa. Dnia 23 kwietnia b. r. koło godziny 6 wieczorem świadek usłyszał hałasy przed swoim szynkiem. Wybiegł tedy na próg i zobaczył na ulicy tłum złożony z kilkuset ludzi, na jego zaś czele Bergmanna z flaszką wódki w ręku. wykrzykującego: „Habt Acht, Front, hurra do dziadka“, który to okrzyk powtarzała za nim gawiedź i rozpoczęła ciskać kamienie. Na takie powitanie świadek uciekł do domu, zamknąwszy drzwi prowadzące do szynku od ulicy. Po uśmierzeniu rozruchów świadek znalazł te drzwi uszkodzone, szyby w oknach powybijane, ogromne kamienie wewnątrz lokalu. Wyrządzona świadkowi szkoda dosięga kilkudziesięciu złotych. Jej zwrotu nie domaga się on, bo dziękuje Bogu, że nie wtargnięto do jego szynku, gdyż wtedy poniósłby był szkodę z pewnością nie niższą od 800 zł

Przesłuchiwany dalej zeznaje S c h l i t t e r m a n n, że co do osoby Bergmanna, którego zna dobrze, z pewnością się nie myli, z prócz tego poznaje F u s e k a, jako tego, który przed domem Grossa najgłośniej wykrzykiwał i jemu się odgrażał. Obaj przez świadka poznani obwinieni przeczą wręcz jego zeznaniom, a Bergmann nawet dodaje, że świadek ma złość do niego za dług niezapłacony.

Czwartym a najważ iejszym świadkiem obciążającym jest Moryc B e r g e r, pełnomocnik dzierżawcy propinacji w Lipniku, Juljusza Korna. Świadek z mocy zatrudnienia swojego zna prawie wszystkich robotników bialskich, poznaje przeto prawie wszystkich obwinionych. Zeznaje on, że już od dłuższego czasu słyszał, jak robotnicy w szynkach zgromadzeni naradzali się i wspominali coś, „że pójdą na panów. muszą sobie los poprawić.“ Między tymi robotnikami widywał także oskarżonego Jędrzeja Klimczaka.

Świadek podaje, że nie zarządzał on żadnych środków ostrożności, bo nie przypuszczał, że w ogóle przyjdzie do ekscesów, a tem mniej, że robotnicy rozpoczną reformę swoich stosunków i polepszenie swego bytu od zniszczenia propinacji. Gdy jednak zobaczył w d. 23 kwietnia nadciągający tłum, kazał natychmiast zamknąć pierwszy szynk i bramę główną. Tak samo postąpili i małżonkowie Malarczykowie, utrzymujący drugi szynk od ulicy głównej. Tłum dobywał się do bramy i do obydwóch szynków frontowych, lecz na szczęście silne drzwi żelazne stawiły opór.

Wtedy robotnik Ernest Wiesner (zabity przez strzelające wojsko), zawołał: „chodźmy bracia do trzeciego szynku, bo tam są drewniane drzwi i niskie okna“ i rzeczywiście tłum poszedł za tą radą i rzucił się na trzeci szynk, gdzie się znajdował Izydor Schrötter. Tam wyrwano okiennice, wywalono drzwi — a następnie przez drzwi, tamże się znajdujące, a łączące wszystkie trzy szynki, wtargnęli najpierw do szynku pierwszego a następnie do szynku Malarczyków, gdzie zniszczono okna, stoły i wszystko, co im pod rękę wpadło. Gdy przyszło wojsko, prawie wszyscy sprawcy byli już zupełnie pijani i na wezwanie do rozejścia się, odpowiadali okrzykiem „hurra“ i rzucali na wojsko kamieniami, flaszkami, szklankami i kawałkami połamanych desek.

Po pierwszej salwie nie chciały tłumy ustąpić, wołając do żołnierzy, że nie wolno strzelać, — po drugiej salwie świadek oddalił się i poszedł do swego pryncypała, nie wie przeto, co się dalej działo na placu rozruchów. Szkodę wyrządzoną Kornowi oblicza świadek na 2500 zł., powstałą w skutek zniszczenia sprzętów, naczyń, trunków, wiktuałów i gotówki zabranej z kasy, na dalsze zaś zapytania oświadcza, że gdyby byli robotnicy wtargnęli do głównych składów, powstała stąd szkoda dosięgłaby kwoty 25000 zł. Przy konfrontacji z oskarżonymi świadek poznaje Bergmanna i oświadcza wskazując na niego, że ten był przewodnikiem, wzywał wszystkich, by się nie bali żołnierzy, bo strzelać nie będą; on najwięcej dowodził i jego głos rozlegał się najdonośniej.

Poznaje również Szpyrkę, którego spotkał niosącego wódkę w kapeluszu, kilka flaszek pełnych pod pachą i głośno wykrzykującego, a dalej obwinionych: Fuseka, Szatana, Wiechcia, Zielińskiego, którzy wódkę wynosili, wykrzykiwali, kamieniami rzucali i „na kiełbasę“ do szynku Malarczyków zapraszali kolegów.

Ci oskarżani przez świadka zaprzeczają jego zeznaniom, a gdy on przy niej stanowczo obstaje, mówią: „Niech tam to panu. co pan mówi, na sumieniu pozostanie“.

Mały Fejleton.

I N M I N U S.

(Obrazek z bruku.)

Uczony, chociaż nie głośny myśliciej Jankiel Dawid Parasol dał się słyszeć ze zdaniem, „że życie to także kawałek licytacji“. Paradoks ten zawsze przychodzi mi na myśl, ilekroć spojrzę na pana Damazego.

Gdyby kto chciał napisać dokładną bjografję tego człowieka, musiałby, wzorem dziejopisarzów, podzielić ją na epoki, bo pan Damazy miał swoje czasy pasterskie, myśliwskie i koczownicze, chwile świetności i upadku... tryumfów i niepowodzeń.

Przyszedł na świat w pałacu, tak przynajmniej ów dom nazywano, był synem rodziców jaśniewielmożnych, dziedzicem nazwiska, które szlachta uważała za piękne i fortuny, wedle zdania żydów, o wiele od nazwiska piękniejszej.

Życie witało go uśmiechem, choć on na równi z innymi śmiertelnikami płaczem je powitał...

To pierwsze odezwanie się człowieka jest bez zaprzeczenia najmądrzejsze...

Zaledwie odrósł od ziemi, wszyscy mu mówili, że jest paniczem i że z czasem wielkim panem zostanie. Na co spojrzał, to było jego. I pałac i park i szerokie pola i kwieciste łąki i rzeka i drzewa i lasy i kwiaty — jego; piękne pokoje, kosztowne ekwipaże, liczna służba — jego; co okiem mógł objąć — jego..

Takim wybrańcom losu wszystko się uśmiecha i nawet nauka zbliża się do nich z uprzejmością, dyskretnie.

Nie chwyta za kołnierz, jak pospolitą jednostkę, aby ją wrzucić w ogólny kocioł, kipiący łaciną i greczyzną — lecz wcieliwszy się w postać uperfumowanej guwernantki i pełnego dystynkcji nauczyciela, usiłuje robić nad wybrańcem fortuny operacje bez bolu, z użyciem kokainy, lub gazu rozweselającego...

Jest wyjątkowo uprzejma, częstuje lingwistyką, jak cukierkami, rozwija nieistniejące talenta, dotyka przez rękawiczkę i napełnia głowę pacjenta ukradkiem, nie robiąc mu wcale subjekcji. Galanterję swoją posuwa tak daleko, że częstokroć ustępuje miejsca kucowi.

Tak się zachowywała i względem pana Damazego, a gdy na górnej wardze ukazał się czarny meszek, zwiastujący przyjście wąsów — podała rodzicom rachunek i zapłacona sowicie, cofnęła się z ukłonem.

Wąsy rosły, a w głowie młodzieńca już bez pomocy metrów, powstawały nowe pojęcia o tajemnicach życia i pięknościach przyrody...

Czasy sielankowo pasterskie, po których nastał niebawem okres myśliwski.

Kuc w kąt poszedł — pana Damazego dźwigał pyszny hunter anglik z krwi, kości i ognia; biegały za nim setery, pointery, ogary z Francji, charty z Wołoszczyzny.

Były pola piękne, knieje obszerne, towarzystwo doborowe.

W tym czasie mniej więcej jaśniewielmożni rodzice przenieśli się do lepszego życia, pozostawiwszy jedynakowi hypotekę dość czystą, las piękny i wolność bezwzględną.

Pan Damazy zaczął żyć samodzielnie, przyjął wesołego plenipotenta, który mu nie truł życia rachunkami i znalazł grono wesołych żydków, gotowych do najzabawniejszych tranzakcyj.

Tak się wszyscy w dobrach pana Damazego weselili, tak im było dobrze, że aż las z tej rozkoszy wyłysiał, a pola perzem porosły.

Ucieszny jakiś człeczyna, zwany egzekutorem coraz częściej zaglądał do pałacu, a raz posunął niedelikatność do tego stopnia, że sprzedał karetę, ośm cugów i huntera. Jednocześnie żydzi zapragnęli zrobić z księgi hypotecznej „jednodniówkę“ i zabazgrali ją aforyzmami, pełnemi adwokackiego humoru.

Zdaje się, że wówczas pan Damazy po raz pierwszy w życiu wystosował do plenipotenta swego mowę poważną.

W pierwszej części oracji dowiódł, że położenie jest głupie, w drugiej zapytał co czynić?

Wesoły plenipotent rozśmiał się i oświadczył, że bywają sytuacje o wiele głupsze i że ożenienie się z osobą zamożną jest na taki interes niezawodnem i wypraktykowanem lekarstwem.

Zaczęto szukać w aptece zwanej „Szczawnicą“ i znaleziono Bogu ducha winną istotę, cichą, rozmarzoną i słabowitą.

Oddała panu Damazemu dobre swoje serduszko, szczupłą rączkę i znaczne mienie z silną wiarą, że za tak bagatelną cenę nabędzie ogrom szczęścia... Młodzi małżonkowie pojechali do Włoch, bo podobno pod tajemniczem niebem szczęście najbardziej smakuje...

Trzeba oddać sprawiedliwość panu Damazemu, że wątłej żoneczce swojej życia nie zatruł, marzeń jej nie rozwiał, złudzeń nie pozbawił. Owszem, kochał ją i wiernym w tej miłości pozostał aż do grobowej deski. Umarła szczęśliwa, z uśmiechem na ustach, pod włoskiem niebem w trzy miesiące po ślubie.

Majątek zapisała mężowi.

I znowuż trzeba oddać panu Damazemu sprawiedliwość, że opłakiwał żonę prawdziwemi łzami, ale rozpacz i żal nie mogą trwać wiecznie. Strapionego wdowca pocieszał wesoły plenipotent, przyjaciele i gra... Z początku dla zabicia czasu, dla rozrywki, dla wrażeń, a wreszcie dla odzyskania tego co stracone.

Nie będziemy opisywali szczegółowo dalszego przebiegu wypadków. Rozwód z fortuną w takich okolicznościach odbywa się zwykle według jednej i tej samej procedury. Gotówka, potem kredyt w stopniu łatwym, trudniejszym, najtrudniejszym, a potem świat otwiera przed rozwiedzionym gościnne wrota na oścież i daje mu bezpłatnie piasek do kręcenia biczów, oraz pole do gonienia wiatru.

W życiu pana Damazego rozpoczął się okres koczowniczy.

Trafnie ktoś zauważył, że wyższość człowieka nad zwierzętami objawia się między innemi śmiechem.

Pan Damazy uśmiechał się do przyszłości. Z niewielkim zapasem pieniędzy, ale z nadzieją w sercu wszedł między ludzi, pewny, że źle mu nie będzie. Ma tyle stosunków znajomości przyjaciół!

Cóż majątek! wczoraj był, dziś go nie ma, przemijająca to rzecz; w przegranej sprawie z fortuną służy apelacja do pracy, o czem się człowiek dowiaduje zazwyczaj, gdy jest naczczo, a nie ma czem zaspokoić apetytu.

Panu Damazemu praca przyszła też na myśl, ma się rozumieć odpowiednio do urodzenia i pozycji towarzyskiej. Ostatecznie robota nie hańbi, a stanowisko generalnego plenipotenta w magnackiej fortunie, mającego świetną pensję, apartament i powóz do dyspozycji — złe nie jest.

Starał się o nie pan Damazy; mieszkanie zajmował w pierwszorzędnym hotelu; ubierał się podług ostatniej mody, ale magnaci mieli już plenipotenta i żadna taka posada nie wakowała. Dawni przyjaciele zbywali pana Damazego ni tem, ni owem, zaczęli go nawet unikać.

Rządzca hotelu domagał się uregulowania rachunku, taką samą piosnkę śpiewał krawiec i restaurator, istna zmowa pierwszorzędnych impertynentów.

W takiej sytuacji najlepiej jest... splunąć i okazać pierwszorzędnym, że się o nich nie dba, że po za nimi są jeszcze na świecie sfery drugo, trzecio i dziesiątorzędne, może mniej błyszczące, ale tańsze, poczciwsze, dające to za szóstaki, co pierwszędni dziesiątkami guldenów każą opłacać.

Trzeba przyzwać na pomoc zasady filozofji praktycznej i zapatrywać się na to rzeczy rozumnie. Cóż jest właściwie hotel Zorża, jeżeli nie brat rodzony hotelu pod Białym koniem? i na odwrót, cóż jest hotel pod Białym koniem? Jest to hotel Zorża, tylko trochę mniejszy, a prawie równie obdrapany i biedny.

Różnica jedynie w formie, treść ta sama, pokój i trochę gratów. Do tego przekonania szedł pan Damazy stopniowo przez hotel Francuski, Angielski, Warszawski, Podolski, ale w końcu trafił na hotel pod Białym koniem. I myśli jego inny przybrały obrót, boć ostatecznie, czy się jest plenipotentem magnata, czy administratorem u dorobkiewicza, czy wreszcie rządzcą u zwyczajnego s lachcica — zależność jednakowa, a różnica tylko w stopniu wynagrodzenia... Idzie głównie o czas; gdyby mu dano do wyboru: rządzcostwo wielkich dóbr za rok, albo małego folwarczku natychmiast wybrałby drugie, tem więcej, że owi lepsi od pierwszorzędnych poczciwcy, hotelarze i restauratorowie, obsługujący publiczność za tanie pieniądze, ujawniają instynkta mniej delikatne i na ordynaryjnym papierze wypisują drobne, lecz gwałtowne rachunki.

A jak na nieszczęście, posady plenipotentów i rządzców, dotknięte szczególną epidemją: nie ma ich wcale... Możnaby mniemać, że karbowi, gumienni, parobcy i fornale w całym kraju tak zmądrzeli, że sami sobie dysponują i sami sobie wymyślają od pijaków, gałganów i łotrów.

Dziwne czasy!

Pan Damazy opuścił hotel pod Białym koniem, przeniósł się na Żółkiewskie, oraz poznał bardzo porządny zakład „Pod papugą“, w którym za dwadzieścia centów można mieć porcję flaków zdrowo przyrządzonych i chleb à *discretion.* Dowiedział się również, że chcąc się rozgrzać i pocieszyć w strapieniu, niekoniecznie trzeba się udawać do miejsc, w których rozgrzewają się i pocieszają panowie. Są cały dzień otwarte resursy dorożkarskie, gdzie towar dużo mocniejszy i tańszy.

Z rządzcostwa zrezygnował, wziął się natomiast do pośredniczenia w interesach. To jest bardzo miły kawałek chleba i nie wymagający nakładów. W przeciągu kilku godzin można zarobić pieniądze, większe, mniejsze, ale zawsze gotówką.

Czasem usłyszy się nieprzyjemność, czasem zapalczywy interesant chce za drzwi pośrednika wyrzucić, ale trudno... Każdy fach ma swoje nieprzyjemności. Nieraz najsławniejszy lekarz, co własną karetą jeździ, usłyszy grubą impertenencję od wijącego się z bólu pacjenta i chowa to do kieszeni, nie pozując wcale na obrażonego.

Aby tylko były interesa, lecz nie wiele ich jakoś. Takie, które przychodzą do skutku łapią żydzi, te zaś, których żydzi nie łapią, nie udają się.

Są niby domy do zamiany na dobra ziemskie, ale zanim się dobra znajdą, domy idą na licytacją i są do odstąpienia sumy hipoteczne, bardzo pewne, na szesnastym, siedemnastym numerze, ale amatorów na nie brak; są interesanci gotowi dać jakie quantum za wyrobienie posady— ale posad nie ma.

Czas fatalny!

Trafi się niekiedy jakiś drobiazg i wpadnie kilka guldenów do ręki, lecz rzadko. Po największej części dzień za dniem przechodzi bezowocnie.

Próbował pan Damazy zbierać ogłoszenia do efemarycznych wydawnictw, ale świat kupiecki jest taki szkaradny jak i inne światy — i nie ma poczucia delikatności, jaką należałoby okazywać ludziom lepszego urodzenia. Nie jeden kupiec odburknął niegrzecznie, a znalazł się i taki co nawet przemówić nie raczył, lecz drzwi pokazał w milczeniu.

Przytem ujawniła się rzecz szczególna. Gdy się trafił interes, przy którym można było coś tytułem pośrednictwa zarobić, wnet oprócz pana Damazego, zjawił się pan Michał, niegdyś posiadacz rozległych dóbr w ziemi bełzkiej, pan Kalikst głośny swego czasu na Podolu, oraz niejaki Miecio, zwany „ludożercą“, gdyż sam na siebie mówił, że zjadł własną ciotkę, zarznąwszy ją poprzednio fałszywym wekslem.

Pan Damazy tak daleko nie zaszedł, z sądami karnemi stosunków nie miał, ale jak mógł kogo zarwać na drobną pożyczkę, to zarwał, oszwabić delikatnie na komisie — oszwabił.

Fakt jest, że mu się te interesa sprzykrzyły, zwłaszcza od czasu, gdy jednemu z wyszeptanych młodzieńców ułatwił sprzedaż pamiątek familijnych.

Zdawało się panu Damazemu, że się w nim, w jego sercu, budzi jakiś dawno pogrzebany nieboszczyk i niepokój mu sprawia... Czasem przemknęło przed jego oczami coś nikłego, niepochwytnego — cień matki, a czasem zdawało mu się znów, że widzi ogromną, kwiatami usianą łąkę, zupełnie taką samą, jak jego niegdyś własna...

W takich chwilach pan Damazy chodzi na róg, klnie pod wąsem i powiekami mruga, bo mu oczy wilgotnieją.

Koło placu Św. Ducha jest, jak wiadomo, kawiarnia z werandą. Stałe to *locum* pana Damazego.

Zastać go można tam od wczesnego ranka. Siedzi nad filiżanką kawy czarnej, studjuje ogłoszenia w dziennikach, a potem patrzy godzinami całemi na ruchliwą falę ludzi, czekając, ażali mu ona, niby rzeka wezbrana, jakiego okrucha nie przyniesie...

Ale skąd?

Kto ma przynieść? Czy zadyszane szwaczki, śpieszące do roboty, czy młodzież, dźwigająca książki w tornistrach, czy ci urzędnicy, którzy dążą do biur?..

Próżno wodzi oczami, próżno szuka. Pochyla na tył głowy wypłowiały kapelusz, gryzie rączkę od laski, , gryzie wąsy, gdyby mógł, sam siebie by zgryzł...

Niegdyś był to ładny mężczyzna, dziś zaledwie ślady urody tej pozostały. Włosy i wąsy mają barwę wypłowiałą, prawie popielatą, oczy są podkrążone, a na policzkach i na nosie rozciąga się siateczka drobnych nitek ciemno-czerwonych, siateczka bardzo gęsta, z daleka wyglądająca jak plama.

Alkohol w ten sposób ozdabia swoich czcicieli.

Pan Damazy patrzy na ruch uliczny, ściga ludzi wzrokiem, znajomych twarzy szuka, a patrzy tak, że aż w rodzaj snu hypnotycznego zapada.

Budzi go turkot. Dorożki przywożą gości z kolei do hotelów. Jakby poruszony niewidzialną sprężyną, pan Damazy zrywa się, biegnie, na przybyłych patrzy.

Cóżby dał za jednego nowicjusza z prowincji, za niedołęgę, któremu mógłby usługi swe ofiarować!...

Gdzie niedołęgów dziś szukać? wszystko starzy bywalcy...

Wraca pod werendę i wpada w kontemplację...

Zbrzydło mu pośrednictwo, plunął by na nie i został chętnie... ale czem?

Szwajcarem ot naprzykład w jakiem biurze.. pyszności posada! na zimę zwłaszcza... siedzi się w cieple, chodzić nie potrzeba;... aha, no albo ekonomem na wsi, ten urząd ma również swoje powaby, jest ruch, powietrze, chleb razowy i kwaśne mleko: ach, chleb razowy!...

Widzi się w marzeniu, już to jako spasły szwajcar, już jako zamaszysty ekonom, zdaje się, że mógłby ręką dotknąć te postacie... ale cóż to za metamorfoza!

Z ekonoma i ze szwajcara robią się motki konopne, a niewidzialna ręka sznur z nich kręci. Sznur, wyraźnie sznur, szary, mocny, z taką pętlicą na końcu, że się w nią akurat głowa zmieści...

Przebudził się, westchnął... i znowuż błądzi wzrokiem po ulicy...

Szanowny Jankiel Dawid Parasol ma słuszność, a paradoks jego głosi prawdę. Częstokroć życie ludzkie jest to tylko kawałek licytacji... *in minus.*

Kronika.

Lwów 1 czerwca.

W imieniu arcyksiężny Stefanji przesłał hr. Palffy rodzinie ś. p. barona Brunickiego następujący telegram kondolencyjny:

„Jej C. W. Arcyksiężna-wdowa poleciła mi wyrazić Państwu serdeczne współczucie z powodu ciężkiej straty, jaką ponieśliście“.

Ks. Dinder, arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, zmarł nagle w Poznaniu, tknięty paraliżem, wczoraj o godzinie 1. po południu.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała Wojciecha Żeglickiego stałym nauczycielem szkoły etatowej w Miechocinie, Juljana Surowieckiego stałym nauczycielem szkoły etatowej w Mokrzyszowie, Teodora Skaleckiego stałym nauczycielem młodszym 2-klasowej szkoły etatowej w Jaryczowie nowym.

Konkursa. Podania o nadanie posady zarządzcy cłowego przy c. k. głównym urzędzie podatkowym w Szczakowej, wnosić należy po koniec czerwca br. do c. k. powiatowej Dyrekcji skarbu w Krakowie.

C. k. Namiestnictwo we Lwowie ogłasza konkurs na kilka posad drogomistrzów, względnie nadzorców rzek przy galicyjskich okręgach budowniczych. Prośby podawać należy do c. k. Namiestnictwa najpóźniej do 25 czerwca br.

Michał Domiczek, emerytowany sekretarz Rady sądu krajowego we Lwowie, znany powszechnie jako sumienny i sprawiedliwy sędzia, tudzież biegły i zdolny prawnik, został wpisany na listę obrońców w sprawach karnych.

P. Wiktor Sikorski, technik z Krakowa, otrzymał od Namiestnictwa koncesję na budowniczego z siedzibą w Krakowie.

Festyn na dochód korpusów wakacyjnych i kolonji rymanowskiej, mający się odbyć dnia 8 czerwca br., zapowiada się świetnie. Komitet dokłada wszelkich starań, by program z powodu swej rozmaitości i oryginalności ściągał jak najwięcej publiczności. Bardzo wiele Pań przyjęło obowiązek gospodyń festynu i pracuje usilnie nad zjednaniem zwolenników tak pięknego celu.

Skutkiem odezwy, rozesłanej do kupców lwowskich, wielu z nich przyrzekło zaopatrzyć bazar w przeróżne towary.

Nadzwyczajne zgromadzenie towarzyszy stolarzy, rzeźbiarzy, organmistrzów itd. odbędzie się w sali Stowarzyszenia „Gwiazda“, przy ulicy Franciszkańskiej l. 7, dnia 1 czerwca o godz. 10 rano. Porządek dzienny: 1. Odczytanie protokołu. 2. Sprawa przedłożenia projektu cennika i unormowanie czasu pracy w myśl §. 2 statutu zgromadzenia towarzyszy. 3. Wybór komisji w celu porozumienia się z pryncypałami co do drugiego punktu porządku dziennego. 4. Podania członków. 5. Wnioski członków.

Myśl dra Jordana założenia parku dla zabaw dzieci znajduje uznanie i poza granicami kraju. Niedawno donosiliśmy o tem, że pismo *Humanität* pomieściło obszerny artykuł, podnoszący wielką doniosłość tego parku i ćwiczeń w nim odbywanych dla fizycznego rozwoju dzieci, zmuszonych czas długi ślęczeć nad książkami w małych szkolnych izbach. Obecnie *Wiener Tagblatt* znów podaje artykuł pełen słów uznania dla krakowskiego parku dr. Jordana. pisze on o nim:

„Jest to wzorowy park dla dzieci, z którego każde wielkie miasto mogłoby być dumne. Wiedeń ma powód zazdrości Krakowowi tego prawdziwie humanitarnego dzieła, tej istotnie znakomitej instytucji dobroczynnej“.

Uczta. Przedwczoraj o godzinie 8 wieczorem odbyła się w sali Grand Hotelu uczta, dana przez profesorów i docentów uniwersytetu Jagiellońskiego na cześć profesorów tegoż uniwersytetu a posłów do Rady państwa: Bobrzyńskiego, Chotkowskiego i Madejskiego.

Rektor Korczyński w pierwszym toaście podniósł ich zasługi publiczne, które tem samem spływają i na uniwersytet. Prof. Madejski, dziękując, podniósł, że profesor uniwersytetu Jagiellońskiego wybrany posłem przez to samo, że jest profesorem tegoż uniwersytetu, ma już ułatwione stanowisko w życiu publicznem, a głos jego zapewnione znaczenie, pił więc na cześć uniwersytetu w ręce rektora.

Prof. Rydel, wspomniawszy o związku, który łączy Koło polskie w Wiedniu z Sejmem, wniósł zdrowie posłów sejmowych w ręce prof. hr. Tarnowskiego, podnosząc jego zasługi w Radzie szkolnej krajowej.

Prof. Tarnowski odpowiedział toastem na cześć Koła polskiego, jego zasłużonego prezesa Jaworskiego, który to toast przesłano p. Jaworskiemu telegraficznie.

Prof. Bobrzyński zaznaczył, jak ciężko jest profesorowi dla obowiązków parlamentarnych opuszczać naukę i katedrę, biorąc jednak przykłady z dziejów naszego uniwersytetu, wskazał, iż uniwersytet ten, obok rozwoju nauki i wykształcenia młodzieży, uważał zawsze za zadanie swoje zabierać głos w sprawach publicznych. Profesorowie-posłowie zapewniają też uniwersytetowi jego związek z życiem i potrzebami kraju i ułatwiają pracom jego naukowym bezpośredni wpływ i praktyczny kierunek. Uczta dzisiejsza jest dowodem, że zapatrywanie to dzieli ogół profesorów uniwersytetu, uważając za najwyższy swój cel rozwój nauki dla dobra naszego narodu i kraju.

Prof. ks. Chotkowski, nawiązując do tych słów i uzasadniając je wymownie, zakończył staropolskiem „kochajmy się“.

Zebranie, w którem wzięło udział około 60 osób, przeciągło się w podniosłem usposobieniu do godziny 11.

Dr. Stanisław Bieliński złożył urząd dyrektora Towarzystwa kredytowego miejskiego, który zajmował od czasu wdrożenia likwidacji tego stowarzyszenia udziałowego.

Zaproszenie. Celem naradzenia się w jaki sposób mieszkańcy miasta Lwowa mają uczcić pamięć Adama Mickiewicza z powodu sprowadzenia zwłok jego na ziemię ojczystą, odbędzie się dnia 2 czerwca b. r. o godz. 6 po południu publiczne Zgromadzenie w wielkiej sali ratuszowej, na które się Rodaków zaprasza.

Na dochód żydowskiej kolonji wakacyjnej i Towarzystwa rygorozantów odbędzie się festyn w przyszłą niedzielę (8 bm.) w ogrodzie Kiselki nad stawem.

Komitet, w skład którego wchodzą także panie, poczynił wszelkie przygotowania, by festyn ten wypadł jak najwspanialej. W szczególności zaaranżowały panie bazar, w którym za bardzo niską cenę dostać będzie można najróżnorodniejszych pięknych przedmiotów.

Dla urozmaicenia zabawy urządzone będą dwie poczty: dla pań i dla panów. Listy do tej poczty należy składać na ręce panów: dra Löwensteina, dra Hochfelda i Diamanda, jako członków komisji cenzuralnej.

Dodać nadto należy, że w czasie festynu przygrywać będą trzy muzyki, a między temi także orkiestra chłopców z domu sierót.

Te i inne jeszcze przez komitet obmyślane niespodzianki jakoteż ogólne zainteresowanie się tym festynem wśród publiczności zapewniają zabawie pożądane powodzenie.

Sprawa budowy letnich dworków na „Nowym świecie“ — tak ważna dla mieszkańców naszego miasta, którzy z reguły zamieszkują domy śródmieścia pobudowane najczęściej bez względu na najważniejsze przepisy hygieniczne — poczyna zajmować coraz szersze koła; bo oto właśnie w poniedziałek (dnia 2 bm.) o godzinie 6 wieczorem w pomieszkaniu p. Drexlera przy placu Kapitulnym l. 2 na drugiem piętrze ma się odbyć wspólna narada tych, którzyby w tej części miasta mieli ochotę pobudować dla swych rodzin pomieszkania letnie i chcieli to wykonać połączonemi siłami.

Panu Winiarzowi, który popiera gorąco projekt budowania will na przedmieściach, w świeżem powietrzu, i który sprasza na tę wspólną naradę, należy się serdeczna podzięka, jeżeli rzecz tę doprowadzi do wykonania i przełamie zakorzeniony u nas przesąd, że chociażby z uszczerbkiem zdrowia i z wyzuciem wszelkich korzyści mieszkania na świeżem powietrzu, najwygodniej jest zamieszkiwać cuchnące, pełne kurzu i miazmatów dzielnice śródmieścia.

Zmarli. Dr. Feliks Wysocki, lekarz i obywatel miasta Czerniowiec, zmarł w Czerniowcach w 52 roku życia.

W Stanisławowie w tych dniach obchodził ks. Jan Łopuszyński, profesor gimnazjalny i radzca tutejszego biskupiego konsystorza 25-letnią rocznicę służby profesorskiej.

Koledzy uczcili tego szanowanego powszechnie i poważanego pedagoga uroczystą ucztą.

Marki pocztowe jako barometr. Jeden z doświadczonych pocztmistrzów podaje następujące swe spostrzeżenie nad wpływem zmian atmosferycznych na marki pocztowe.

Przed deszczem, śniegiem, w ogóle przed wilgocią w powietrzu marki ze strony pokrytej gumą arabską zlepiają się razem. Kiedy marki wilgotne schną i przestają zlepiać się, jest to oznaką ustąpienia wilgoci i nastania suszy. Przed wielką suszą marki się skręcają w trąbkę, przyczem guma pęka i marki łamią się, jeżeli je prostować. Wielu urzędników pocztowych zauważyło to zjawisko i bardzo trafnie posługują się niemi dla przepowiadania pogody.

Z Peczeniżyna donoszą nam, że na dochód nowo założonej ochotniczej straży ogniowej odbędzie się tam 15 czerwca festyn, którego program w swoim czasie ogłoszonym zostanie.

Ogromna burza gradowa nawiedziła przedwczoraj całą okolicę, położoną między Przeworskiem, Kańczugą i Łańcutem. Całe łany zboża zostały do szczętu zniszczone, gdyż grad wielkości włoskiego orzecha, grubą na stopę warstwą przykrył pięknie zieleniejące się zboża, a towarzysząca mu ulewa, garnąc ze sobą grube te warstwy gradu, spłukała zupełnie wszystkie jarzyny, jak kartofle, kapusty i buraki. Na pastwiskach pozabijał grad mnóstwo kaczek, gęsi i innego drobiu.

Nieszczęśliwi mieszkańcy gradobiciem dotkniętych wiosek są w zupełnej rozpaczy, gdyż po zeszłorocznym nieurodzaju, obecne nieszczęście jest dla nich kompletną ruiną, z której nie prędko będą się mogli podźwignąć, gdyż nadzieja na nowe zbiory stracona. O ile do tej chwili skonstatować było można, najwięcej przez gradobicie ucierpiały gminy Hussów, Lipnik, Sietesz, Markowa, Gać, Białoboki, Wolica i Ostrów.

Burza gradowa zniszczyła również wszystkie zasiewy we wsi Byczkowcach w pow. czortkowskim i porobiła nieobliczone szkody po ogrodach i sadach.

— **Nieśmiertelność duszy kobiecej** kwestjonowana była już przez różne religje. Koran zaprzecza jej stanowczo. Wyznawcy Proroka spodziewają się, iż na tamtym świecie znajdą zupełnie inne kobiety; istoty z czystego piżma, niemające w sobie nic ziemskiego, skromne i wstydliwe, ukryte przed oczami profanów w domach... z pereł.

Synowie państwa niebieskiego zaś utrzymują natomiast, iż kobiety wcale duszy nie mają. Piotr Huc opowiada, że jeden z jego wychowańców chińskich zapytał go raz poco właściwie chrzci się kobiety?

— Aby uratować ich duszę — odparł zapytany.

— Ale — zauważył Chińczyk — wszak kobiety nie mają wcale duszy, nie możecie więc robić z nich chrześcijan.

W roku 1693 na koncyljum duchownem w Macon, kapłan, należący do kościoła szkockiego, utrzymywał, iż Pismem świętem dowiedzie, że kobiety nie mogą mieć duszy i powołał się na ustęp z Apokalipsy: „I nastąpiła w niebie cisza, trwająca przez pół godziny".

— Jakżeby to było możliwe — perswadował teolog szkocki — utrzymać w niebie ciszę przez pół godziny, gdyby tam były i kobiety.

Myśli.

— Jeżeli nie chcesz potem żałować, nie czyń nigdy nic ani w pierwszym smutku, ani w pierwszej radości. W ogóle w pierwszych chwilach każdego silnego uczucia należy się mieć bardzo na baczności.

— Ci najwięcej miłość czują, który o niej najmniej mówią.

— Jeżeli chcesz mieć szczęście za codziennego gościa, to szukaj go w tem, co już posiadasz.

— Prawdziwa wielkość nie jest nigdy zazdrosną. To też po stopniu zazdrości można oceniać małość ludzi.

— Księżyc dla zakochanych jest tem, czem lampa dla ćmy.

Teatr. Dziś, w sobotę, pierwszy gościnny występ Panny Heleny Marcello, artystki teatru wielkiego w Warszawie. P. Marcello wystąpi w „Hrabinie Sarze" w roli tytułowej. — Jutro, w niedzielę „Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz", fraszka sceniczna w 3 aktach Abrahamowicza.

Literatura i Sztuka.

* **O handlarce uśmiechów** otrzymujemy od jednego ze znanych polskich podróżników, bawiącego obecnie we Lwowie pismo następujące:

„Wyczytawszy na afiszach wiadomość, iż w teatrze lwowskim przedstawioną będzie japońska „sztuka", przyjąłem ją z pewnem niedowierzaniem, choć nazwisko znanej autorki, panny Gautier, na jej korzyść przemawiało. Ze skwapliwością chwyciłem też na drugi dzień rano po pierwszem przedstawieniu za dzienniki, chcąc przeczytać w nich recenzje nowej sztuki, by módz wyrobić sobie o niej jakieś pojęcie. Lecz jakież rozczarowanie! Po przeczytaniu dwóch recenzyj znalazłem się w labiryncie tak błędnym, że nawet nić Arjadny nie zdołałaby mnie zeń wyprowadzić. Jeden z dzienników podnosił tę sztukę aż do zenitu, wychwalał jej fabułę, przeprowadzenie akcji, przepiękne dekoracje, sztuczne stroje, cudne tańce, przewyborną grę artystów — drugi orzekł krótko, iż dekoracje i stroje są „niczego", ale szkoda było wydawać na nie pieniądze, gdyż cała sztuka jest „pod psem." Aby wybrnąć z tej matni, poszedłem do teatru zobaczyć tę tak zaciekle chwaloną i ganioną sztukę, i przyznam się, że zrobiła na mnie wrażenie wcale dodatnie. Nie jest ona wprawdzie ideałem doskonałości, jak to podnosi jeden z dzienników, gdyż ma liczne wady i usterki szczególniej w przeprowadzeniu akcji, ale jest trochę i „nad psem", bo patrząc na nią widz może mile spędzić wieczór.

W całości też piszę się na recenzję tej sztuki zamieszczoną w *Przeglądzie*, odpowiada ona bowiem prawdzie jak najwierniej. Jeden błąd tylko zarzuciłbym recenzentowi *Przeglądu*, który popełnił wraz z krytykami wszystkich pism innych, a to, iż przepomniał podnieść najpiękniejszą stronę sztuki t. j. jej część muzyczną. Wprawdzie nie ma tu muzyka wielkiego pola do popisu, ale już z tego co słyszymy widać, że pisał ją artysta obdarzony prawdziwym talentem. Kompozytor nie popadł wcale w przesadę, nie stworzył jakiegoś hałaśliwego dziwolągu, który, właśnie przez to, że byłby muzycznym dziwolągiem, mógłby snadnie uchodzić za oryginalną muzykę japońską, o której nie mamy wielkiego pojęcia, lecz uraczył nas muzyką rzewną, melancholijną, bogatą w piękne zwroty i w rozmaitość odcieni, budzącą w duszy naszej echa śpiewów ukraińskich. Dostroił się też w tem kompozytor do ducha lirycznych piosnek japońskich zwanych *uta*, w których podobnie jak w naszych ukraińskich dumkach przeważają tony tęskne i melancholijne, gdyż treścią ich zwykłą są skargi zakochanego słowika *uguishu*, na niestałość kwiatu — nie róży — lecz drzewa śliwowego. W rzewny ton tych piosnek umiał wżyć się kompozytor, i okazał, iż trudny eksperyment dorobienia do japońskiej sztuki dobrej muzyki był dla niego igraszką, i że posiada on wielką dozę artystycznego temperamentu. Słusznie też należy się uznanie p. Słomkowskiemu za jego muzykę.

Scena polska powinna być szkołą polskiego języka dla publiczności. Artystki sceny lwowskiej tego nie przestrzegają jednak, gdyż słyszeliśmy z ich pięknych ustek takie *horrenda* językowe, jak „nie mogę to używać", „nie dawaj mu ten nóż" i t. p.

Gdy piszę już o przedstawieniu tej sztuki, pozwolę sobie zwrócić uwagę reżyserji na to, iż kolor biały jest u Japończyków kolorem żałoby. Oblubienica japońska nie może więc stroić się do ślubu w biały welon, bo raziłoby to Japończyka tak samo, jakby raziło to nas, gdyby u nas panna młoda, przystroiła się do ślubu w welon czarny. O ile wiem, z własnych obserwacyj, używają tam do stroju ślubnego welonów błękitnych i purpurowych.

Wędrowiec.

* **Studja Heraldyczne** przez Antoniego Małeckiego — 2 duże tomy — Lwów 1890.

Na półkach księgarskich ukazało się dziś dzieło, które niezawodnie powitane zostanie z radością nietylko przez wszystkich badaczy naszej przeszłości, ale także przez cały inteligentny ogół. Znakomity nasz uczony, rektor Antoni Małecki, zbiera już od lat wielu materjały do historji „Społeczeństwa polskiego", do wewnętrznych dziejów naszego narodu. Owóż zamierza materjały te wydawać po kolei, w postaci odrębnych rozpraw, jakby „Przyczynków" do dzieła poświęconego temu zadaniu. Pierwszym takim „przyczynkiem" są właśnie owe „Studja Heraldyczne", poświęcone szlachcie i szlachectwu w Polsce.

Dla czegoż rozpoczyna od szlachty? Oto dla tego — powiada szanowny autor, że jakkolwiek „mogą być w wysokim stopniu zajmującemi dla myślącego człowieka stosunki i koleje wiekowe także i innych stanów tworzących nasz ogół społeczny, a zwłaszcza pierwotna dola Ludu, niemniej i zmiany, jakim ona w dalszych podlegała epokach; — lecz przeprowadzenie genezy szlachty rozstrzyga o tych wszystkich innym warstwom towarzyskim poświęconych badaniach i góruje ważnością swoją nad całą resztą przedmiotu. Od tego bowiem jak się tę kwestję rozwiąże, zawisła ostatecznie trafność lub też obłędność pojęć naszych o wszystkiem innem."

Podajemy dziś tę krótką notatkę o tem dziele, jedynie aby zawiadomić naszych czytelników o jego wyjściu. Nadmienić jednakże winniśmy, że wydane jest ono prześlicznie, a ryciny herbów są doskonałe.

Rozmaitości.

— **Nie myje się nigdy.** Patti w rozmowie z redaktorem nowojorskiego *Worlda* przyznała się, że nigdy się nie myje.

— Nie wierzę, aby woda mogła coś komu pomódz — twierdziła. — W podróży unikam jej starannie, okrywam jednak głowę i twarz, szczególniej jadąc koleją. Nie myję się nawet na statku, wystarcza mi wilgotne powietrze, a nic tak, jak to ostatnie, nie utrzymuje płci. Używam tylko zimnego *creme'u*, sporządzonego z białego wosku, zmięszanego z benzoinolem i drobnym dodatkiem olejku różanego. Mięszaniną tą zmywam twarz i ręce, co skórę w należytym stanie wilgoci i gładkości utrzymuje.

Ewening Standard dodaje tu ironiczie: „Patti zapomniała objaśnić nas: czy ma zwyczaj się kąpać. Przypuszczamy tedy, iż w miejsce kąpieli, niby starożytne matrony rzymskie, ma zwyczaj nacierania się olejkami, balsamując się za życia".

— **Szklane kufle.** Bodajto dysputy ściśle naukowe, lada pyłek może być ich przedmiotem! Nic przeto dziwnego, że taką dysputę wywołał niedawno temu kufel do piwa.

Bój stoczyli dwaj chemicy: dr. Schultze z Liesing (w dolnej Austrji) i dr. Lintze z Wiednia; żywy udział w walce wzięły zarówno sfery przemysłowe jak i publiczność. Chodziło bowiem — jak rzekliśmy już wyżej — o kufel, a kogoż kufel nie obchodzi?

Dr. Schultze w pracy zatytułowanej „Czemu piwa ze szklanych naczyń pić się nie godzi?" przyszedł do przekonania, że piwo podane w kuflu szklanym, to najkrótsza droga na tamten świat; że szkło rozpuszcza się w piwie, które wydziela z niego związki ołowiu, niewymownie szkodliwe; że zatem kto dba o życie, ten ekstraktu chmielowego używać powinien tylko z kufli kamiennych polewanych lub cynowych, jeżeli go nie stać na kufel srebrny, wewnątrz grubo złocony, albowiem ten ostatni najmniej przedstawia niebezpieczeństwa.

Przeciw powyższemu iście rewolucyjnemu odkryciu wystąpił dr. Lintze, ironicznie zwalczając subtelności przeciwnika. Wnioski, do których doszedł dr. Sch., nazywa on łudzeniem samego siebie, zarzuca im brak ścisłości i logiki.

Twierdzi on co następuje:

Dr. Schultze odczuwa w piwie, które pięć minut stało w naczyniu szklanem, różnicę smaku. Odbywał ze stu osobami w pracowni swej próby, podając im kolejno do smakowania piwo jużto ze szklanych, już z kamiennych naczyń. — „I przychodzili" jak sam utrzymuje „pełni niewiary, opuszczali mnie jednak przekonani zupełnie." — Szkoda tylko, że wszyscy z góry uprzedzeni byli o co chodzi, a w takich warunkach o najcudowniejszym cudzie można każdego z łatwością przekonać. Tego rodzaju doświadczenie nie ma nic wspólnego z nauką. Najłatwiej podlega pomyłkom zmysł smaku. Wszakże znaną jest rzeczą, że człowiek z zawiązanemi oczyma nie rozróżnia białego wina od czerwonego.

Dr. Schultze oblicza, że kufel już po pięciu minutach udziela piwu cztery do ośmiu dziesięciotysiącznych miligrama substancji własnej, i dziwi się bardzo że ślad ten zaledwie śladu wpływa na smak tego napoju.

A oto jak wyglądają dalsze jego obliczenia:

Pochłaniamy wrzekomo w każdym litrze piwa ze szklanego naczynia 48 miljonowych cząstek miligrama związków ołowiu, które gromadząc się w organizmie (albowiem według dra Schultze organizm nie wydziela ich z siebie), sprowadzają ostatecznie chroniczne zatrucie się ołowiem.

Owe 48 miljonowych cząstek miligrama co dnia (wedle obliczeń dra Sch.) dają na rok 17½ tysiącznych miligrama, t. j. aby cały miligram ołowiu pochłonąć, potrzeba 57 lat a 20.800 litrów piwa, wypitych z najgorszego gatunku szkła o 4·57 procent związków ołowiu.

Pijąc piwo ze szkła zwykle używanego a zanieczyszczonego tylko 1.28 pct. ołowiu, dla wprowadzenia jednego miligrama ołowiu do organizmu trzebaby zużyć 203 lat i wypić 74.100 litrów piwa.

203 lat! Ładny okres czasu!

Wobec takich rezultatów — kończy dr. Lintze — o wiele niebezpieczniejszą dla zdrowia byłaby zwierzyna, w której ziarnko śrutu więcej roztwarza ołowiu przez jeden dzień, niżby go najzawziętszy piwosz przez lat 15 zapożyczył ze szklanego kufla.

Było o czem rozprawiać!

Część ekonomiczna.

§ **Konwersja** 5-procentowych listów galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, przed tygodniem dopiero zakontraktowana z Bankiem dla krajów koronnych, już wchodzi w wykonanie. W zastępstwie tego banku przeprowadza ją galicyjski Bank kredytowy za pośrednictwem wyłącznie galicyjskich instytucyj finansowych i już w dzisiejszym numerze naszego pisma, w części inseratowej, znajdą posiadacze 5-procentowych listów ogłoszenie warunków, pod któremi mogą oni wymieniać je na 4½-procentowe, nie czekając na wylosowanie już wypowiedzianych i z obiegu mających się wycofać listów 5-procentowych. Jakie korzyści nastręcza posiadaczom tych listów oferta galicyjskiego banku kredytowego, to rzecz rachunku, a chociaż to niewątpliwie korzystniejszem wziąć dziś — przy wymianie — 4½-procentowe listy po kursie 99.50 za 100 zł., niż po wylosowaniu kupować je na giełdzie po kursie znacznie wyższym, gdyż już obecnie sprzedają się po 100.50 zł, daleką nam chęć namawiania do dobrowolnej konwersji. Ona jednak nastręcza nam pożądaną sposobność omówienia pewnego nałogu, zakorzenionego głęboko u naszych kapitalistów, a przynoszącego im — wedle naszego zdania — więcej szkody niż korzyści.

Tym nałogiem jest zbytnie upodobanie naszych kapitalistów w nabywaniu papierów wartościowych w sztukach opiewających na jak najniższe kwoty; upodobanie posunięte tak daleko, iż nie jeden, kupując papiery lokacyjne wartości nominalnej 10.000 zł., żąda samych setek lub w najlepszym razie listów po 500 zł., zamiast kupić dwa listy po 5.000, lub wreszcie 10 po 1.000 zł. Skutek tego jest taki, że kurs listów, na niższe kwoty opiewających, bywa zwykle przynajmniej o pół procentu droższym od kursu listów opiewających na wyższe kwoty, właściciel zbyt wielkiej liczby drobnych listów przysparza sobie dużo kłopotu przy wymianie kuponów, gdyż zmuszony jest sobie obszerne ich konsygnacje, wreszcie zaś narażonym bywa na łatwe bardzo w tej liczbie posiadanych listów przeoczenie ich wylosowania i na zużywanie własnego kapitału przez odcinanie kuponów od już wylosowanych listów.

Tych niekorzyści i niedogodności uniknie każdy biorąc listy opiewające na większe kwoty, łatwiej dopilnuje wylosowania i pozbędzie się konieczności spisywania zbyt obszernych konsygnacyj przy wypłacie kuponów. To zaś uczynić może tem snadniej kupując papiery hipoteczne, z natury swej przeznaczone na trwalszą lokację i nie mające wcale cechy kapitału obrotowego. Tak postępują kapitaliści zagraniczni, a najlepszym dowodem, że poza granicami Galicji poszukiwane są właśnie listy opiewające na większe kwoty, jest to, iż kurs takich listów jest zawsze znacznie wyższym od kursu listów o niższej nominalnej wartości, a stąd idzie dalej ta korzyść, iż w konieczności rozmieniania listu większego na drobniejsze, nie potrzeba opłacać się wekslarzom, jak się to dotąd dziać u nas zwykło. Względy te spowodowały — jak słyszymy — nasze Towarzystwo kredytowe ziemskie, iż, puszczając obecnie w obieg znaczniejszą kwotę 4½ procentowych listów, zamierza puścić znaczniejszą ich liczbę po 10.000, 5000 i 1000 zł. a ograniczyć do niezbędnej potrzeby liczbę listów opiewających na 100 i 500 zł.

§ **Wyrób wódki w Galicji.** W miesiącu marcu rb. w 544 gorzelniach wyrobiono ogółem 6,188.214 do wyrobu oznajmionych stopni alkoholu. Największa ilość gorzelni była w ruchu w powiecie tarnopolskim 106 (w których wyrobiono 1,461.941), w pow. brodzkim 100 (1,26 .214), w przemyskim 54 (704.585), w rzeszowskim 51 (453.000), w tarnowskim 50 (356.318), w kołomyjskim 37 (469.620), w stanisławowskim 35 (429.838), w sanockim 35 (338.200), w krakowskim 28 (168.210), we lwowskim 22 (263.9T5), w samborskim 18 (204.689), w nowosądeckim 9 (76.694 stopni alkoholu).

§ **Wyrób piwa w Galicji.** W miesiącu marcu rb. było w ruchu browarów galicyjskich ogółem 142, w których wywarzono 58.354 hektol. piwa. Najwięcej browarów, bo 20, było w ruchu w powiecie rzeszowskim (wywarzono 6441 hektolitrów), następnie w powiecie brodzkim 18 (5324 hektol.), w przemyskim 15 (7045 hl.), w tarnopolskim 15 (5323 hl.), w krakowskim 11 (6898hl.), w stanisławowskim 11 (4877 hl.), w nowosądeckim 11 (4238 hl.), w sanockim10 (3067 hl.), we lwowskim 9 (4471 hl.), w tarnowskim 8 (5065 hl.), w samborskim 8 (2681 hl.), w kołomyjskim 6 (2924 hl.), w mieście Lwowie 5 (10.680 hl.), w mieście Krakowie 4 (5840 hl.).

§ **Sprawozdanie tygodniowe Izby handlowej i przemysłowej** o cenach zboża i produktów we Lwowie od 17 do 24 maja bez opłaty akcyzowej. — Pszenica 7.35 do 7·75, żyto 6·20 do 6·60, jęczmień browarny 6·— do 6·40, pastewny 5·10 do 5·50, owies 6·75 do 7·15, hreczka 6·50 do 7·—, kukurudza zeszłoroczna 5·75 do 6·–, nowa 5·50 do 5·75, groch do gotowania 7·— do 7·50, pastewny 5·60 do 6·—, fasola 0·— do —·—, bobik 0·00 do 0·—, wyka 6·— do 7·—, koniczyna 25·— do 3.·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski 19·— do 23·—, kminek 14·— do 20·—, rzepak zimowy 12 do —·—, na termin 10·25 do 11·25, rzepak na jesień —·— do —.—, lnianka 8·25 do 8 50, nasienie lniane 10.— do 10.25, chmiel na jesień 80·— do 98·—, nafta zwykła 13·50 do 14·50, salonowa 16·50 do 18·50, wszystko za 100 kilogramów, spirytus 10,000 literprocentowy kontyngentowany z podatkiem konsumcyjnym 46·25 do 46·50.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 30 maja.

Po znacznej obniżce cen zboża, jaka dotychczas nastąpiła, objawia się obecnie tendencja powstrzymania dalszego spadku, a chociaż usiłowania w tym kierunku w obec dobrego stanu urodzajów i znacznych zapasów zboża dawnego są utrudnione, to przecież w ostatnich dniach nastąpiło w handlu zbożowym pewne uspokojenie, odbyt pozostał wprawdzie tak jak był utrudniony, lecz sprzedający zachowują już pewną rezerwę, a z drugiej strony, w miarę wyczerpywania się zapasów, objawia się ze strony młynów większy popyt.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu transakcje nie zdołały przybrać większych rozmiarów, lecz sprzedano przecież kilka wagonów pszenicy i kilkanaście wagonów żyta; to ostatnie nawet po cenach cokolwiek lepszych. — Na owies, dla braku zapasów, pokup był ożywiony. — Jęczmień bez odbytu.

Płacono za pszenicę białą od 8·50 do 8·85; za czerwoną od 8·50 do 8·85; za żółtą od 8·50 do 8·85; za żyto od 7·— do 7·35; za jęczmień browarny od 7·— do 7·50; na paszę od 5·50 do 6·—; za owies od 7·60 do 8·20; rzepak nowy od —.— do —.— złr. Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 29 maja.

(*Z*) Od wtorku rozpoczęta na naszej giełdzie zwyżka utrzymuje się stale i coraz szersze zatacza kręgi, ogarniając z każdym dniem liczniejszy materjał. Ku temu działa skutecznie wypogodzony zupełnie horyzont polityczny, z którego prokuratorja bułgarska usunęła nawet tę drobniuchną chmurkę, mogącą w skutek procesu Panicy zakłócić spokój Europie. Wyrazem tego wypogodzenia się politycznego horyzontu są kursa giełd sąsiednich i ogromny popyt w Berlinie za austrjackiemi akcjami bankowemi i kolejowemi. W skutek tego rosły jak na drożdżach nasze kursa tych walorów, i równolegle z niemi podwyższały się notowania rent a nawet wzgardzonych przez Berlin akcyj górniczych i przemysłowych.

Między temi ostatniemi podskoczyły dziś: Salgo o 6, północno-węgierskie kopalnie węgla o 4, Trifaile o 2 zł. i podniosły się Waffeny węgierskie o 5 zł. Renty równie jak wszystkie lokacyjne papiery trzymały się bardzo silnie, gdyż w obec mnożących się konwersyj wysoko oprocentowanych listów zastawnych na niżej oprocentowane, obecnie 4 procentowe tut. Zakładu kredytowego ziemskiego notowane są po 116·75, a w ogóle nie ma już solidnego papieru hipotecznego dającego 4—4½ prowizji, któryby stał niżej pari.

Dewizy i waluty z rana poczęły się cofać, następnie stagnowały. Ruble spadły.

Ostatecznie notowano:

Kredyty austrjackie 303·75, **węgierskie** 343·—, **Anglobanki** 149·75, **Uniony** 244·—, **Bankvereiny** 117·—, **Landerbanki** 225·75, **Ludwiki** 195·25, **Czerniowieckie** 230·75, **Renta papierowa** 89·10, **srebrna** 89 95, **austrjacka złota** 109 55, **papierowa** 101·45, **węgierska złota** 103 80, **papierowa** 99·80. **Ruble** 1·35¾

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 31 maja. Cesarz złożył wczoraj bawarskiemu księciu rejentowi Luitpoldowi wizytę pożegnalną, która trwała dziesięć minut. Książę rejent rewizytował Cesarza, a potem złożył wizyty pożegnalne także innym członkom rodziny cesarskiej.

Praga 31 maja. Sejm odrzucił wniosek Juljusza Gregra o odroczenie obrad nad ustawą o nadzorze szkolnym i przystąpił do debaty nad tą ustawą. Namiestnik Czech w mowie swej podniósł konieczność złagodzenia istniejących sprzeczności co do dzieła ugodowego, stworzonego przez mężów wielce zasłużonych około dobra swych narodów za zgodą stronnictw. W myśl uchwalonych punktacji, wdrożył rząd, którego programem jest pojednanie narodów, akcję wstępną, w chwili, w której miał przekonanie, że stronnictwa życzą sobie ugody a uchwały konferencji mężów zaufania mogą być zrealizowane. Namiestnik nie chce wcale zastanawiać się nad tem, o ile stronnictwo niezgody wywołało u umiarkowanych żywiołów potrzebę połączenia się na wspólnym gruncie. Tylko ten jest prawdziwym patrjotą, kto dąży do ukończenia waśni między dwoma narodami jednakowo patrjotycznemi i mającymi wspólne interesa. Stronnictwa zobowiązały się swem słowem doprowadzić do skutku postanowienia konferencji ugodowej, której każda poszczególna uchwała jest jednym krokiem bliżej do stworzenia uregulowanych stosunków w kraju i do wzajemnego zaufania.

Usiłowania tych, którzy podejmują walkę z niemieckimi braćmi i z najlepszymi mężami własnego narodu, mogą doprowadzić do zupełnego odosobnienia narodu czeskiego i do tego, że z grobu, który ci ludzie sobie samym kopią, powstanie zwycięzki przeciwnik.

Namiestnik wątpi, żeby można się było porozumieć co do wszystkich punktów będących przedmiotem przedłożeń obecnych, gdyby Młodoczesi zasiadali w konferencji ugodowej, i podnosi z uznaniem, że Niemcy wstąpili napowrót do sejmu, chociaż nie dano im rękojmi, że sejm przyjmie ugodę, za co im dzięki składa. Niemcy ufali danemu słowu, a Czech nie łamie swego słowa.

Przyszłoroczna wystawa będzie dziełem pokojowem i rezultatem tej ugody.

Monachjum 31 maja. Według urzędowych doniesień, minister oświaty Lutz, z powodu nadwątlonego zdrowia podał się do dymisji.

Berno (w Szwajcarji) 31 maja. Rada związkowa uchwaliła ustawę związkową o wydawanie zbrodniarzy. Ustawa ta postanawia że Szwajcarja nie wydaje osób, które dopuściły się zbrodni lub przestępstw politycznych, wydaje zaś osoby, które popełniły zwykłe zbrodnie nawet wtedy, jeżeli one utrzymują, że zbrodni tych dopuściły się z motywów politycznych. Szwajcarja zastrzega sobie prawo zbadania każdego poszczególnego wypadku tudzież stawia za warunek to, aby wydany przestępca za politykę surowiej karany nie był.

Monachjum 31 maja. Książę regent powrócił dziś tutaj.

Budapeszt 31 maja. Minister Baross oświadczył deputacji robotników państwowej fabryki maszyn, że w obec teraźniejszych stosunków nie może im przyrzec ani podwyższenia płacy, ani zniżenia czasu pracy dziennej.

Budapeszt 31 maja. Sejm odrzucił 219 głosami przeciw 80 projekt Iranyiego dotyczący rewizji ustawy o swojszczyznie.

Budapeszt 31 maja. Gazeta urzędowa ogłasza nominację Szalavszky'ego na sekretarza ministerjalnego w ministerstwie spraw wewnętrznych.

San Francisco 31 maja. Pociąg kolejowy dążący z Pakland do San Francisco wjechał na podniesiony most zwodzony przy Webster-Street. Lokomotywa, tender i pierwszy wagon spadły do rzeki; dotychczas wydobyto już 13 trupów.

Bukareszt 31 maja. Posiedzenie izby posłów. Minister robót publicznych zażądał w izbie kredytu na zbudowanie dworca i pogranicznej stacji cłowej w Burdużeni w miejsce użytkowanego dotychczas austrjackiego dworca w Ickanach.

Wiesbaden 31 maja. Nieuzasadnioną jest wiadomość, że namiestnik ks. Hohenlohe przybył tutaj celem złożenia wizyty cesarzowej Eugenji. Ks. Hohenlohe bawił tu przedwczoraj tylko w interesach prywatnych.

Petersburg 31 maja. Książę Neapolu przybył tutaj. Na dworcu powitał go car i wielcy książęta, a w pałacu zimowym carowa i wielkie księżne. Wieczorem odbył się obiad galowy na cześć jego.

Nadesłane.

Do Wielmożnych Panów Franciszka i Michała Czarniakowskich.

Wni Panowie!

Przeczytawszy z uwagą, przedłożone mi przez Wielmożnych Panów dokumenta, dotyczące stosunku Ojca Panów śp. Pana Adama Czarniakowskiego ze śp. hr. Maciejem Starzeńskim, nabrałem przekonania, że śp. Pan Adam Czarniakowski, cieszył się przez długie lata już po rozwiązaniu obopólnych interesów poważaniem i życzliwością hr. Macieja Starzeńskiego — a za tem nie jest prawdopodobnem, aby kiedykolwiek nadużył zaufania swego jurysdatora, na swoję korzyść, i że w sprawie zakupna stert w Hnilicy, przezemnie w ulotnem pisemku dotkniętej, niepopełnił nic takiego, coby Jego dobrej sławie szkodliwem być mogło. Oświadczenie to daję tem chętniej, że przekonawszy się o prawdzie, skonstatować tego się nie waham, nie mam także nic przeciw temu aby to moje oświadczenie doszło do wiadomości publicznej.

Lwów 29 maja 1890. 953 1—1

Tomisław Rozwadowski.

Przyjechali do Lwowa
31 maja 1890.

HOTEL GEORGA. M. dr. Straszewski z Krakowa. A. dr. Serafiński z Bochni. H. Lisicki z Kalniowa. H. Marcello z Warszawy. M. Torosiewicz z Połtwi. J. Kosiński z Rzeszowa. A. Richter z Rosji. Ch. Halpersohn z Odessy. Ch. Kaminke i E. Ettinger z Kijowa. R. Grocholski z Rożysk. M. dr. Fedorowicz z Słobody.

Z zbożowych targów.

1 czerwca	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7.——6.75	7.——7.75	7.——8.—	8.——8.25
Żyto	6.——6.50	6.——6.50	6.——6.50	7.70—7.—
Jeczmień	6.——7.50	6.——7.50	6.——7.50	6.50—7.75
Owies	7.——7.50	—.— 0.—	6.75 7.—	6.80—7.20
Groch	6.— 12.—	6.— 10.—	6.— 10.50	6.— 11.—
Wyka	6.— 7.—	7.50—9.—	8.——9.—	8 .— 9.50
Rzepak	15.—16.70	15.—16.25	15.—16.—	15.5016.75
Chmiel	—.—.—	—.—.—	—.—.—	—.—.—
Konic. czer.	32.—45.—	30.—45.—	28.—40.—	32.—45.—
Konic. biała	—.—.—	—.—.—	—.—.—	—.—.—
Okowita	9.7510.25	—.—.—	—.—.—	—.—.—

wszystko (z wyjątkiem chmielu) za 100 kilo netto bez worka.

Stagnacja w handlu. Ceny tylko nominalne. Wielka trudność w sprzedaży.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 31 Maja godz. 1. min. 40

Akcje kredyt.	305.75	Węg. kolej półn. wschodn.	198.50
Alpiny	105.60	Wiedeńskie losy kom.	147.50
Kredyty węg.	344.75	Akcje tyton.	123·75
Anglobanki	153.—	Gal.obl.indem.	104.50
Uniony	245.—	Elbethale	231.—
Ludwiki	196.50	Länderbanki	228.30
Nordbany	272 50	Renta zł. węg.	103.70
Lombardy	132.75	Bankvereiny	118.30
Losy tureckie	36.—	Renta węg. pap.	99.65
Staatsbahny	229.—	Ruble	136.25
Czerniowieckie	230.50		

Usposobienie silne.

Lwów. Z Izby handlowej 31 maja 1890

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud..200 zł. w. a.	194 —	196 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	230 —	233 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	303 —	306 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic 5 pro. w. a.	101 30	102 —
Banku hyp. galic. 5 pro. 10% pr.	106 65	107 35
Banku krajowego 4½% wa.	99 —	99 70
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 60	101 30
„ „ „ 4 „ „ nieokr.	98 30	99 —
„ „ „ 5 „ „ losw 37. l.	100 60	101 30
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	95 35	96 05
„ „ „ 4½ „ „ „ „ 52 l.	100 15	100 85
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	94 60	95 30
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d 6%) 3% w likw.	57 —	60 —
„ „ „ „ (d) 5%) 2½% „	47 —	50 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 pro. m. k.	103 75	104 45
Kom. banku kraj. 5 pro. w. a. I. em.	100 75	— —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 pro. w. a.	104 50	— —
„ „ „ 1883 4½% „	98 10	98 80
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	92 20	92 90
5. Losy;		
Losy miasta Krakowa	22 50	24 50
„ „ Stanisławowa	— —	34 —
6 Monety		
Dukat holenderski	5.49	5.59
Dukat cesarski	5.52	5.62
Napoleondor	9.30	9.40—
Półimperjał rosyjski	9.65	9·75
Rubel rosyjski srebrny	1.32	1.42—
„ „ papierowy	1.35—	1.37—
100 marek niemieckich	57.25	57.75

GORZKA NAGRODA.

Powieść

przez

Mrs. ARGLES.

Przekład z ang. N. Krzyżanowskiej.

(Ciąg dalszy.)

Ujęła dłoń jego, a twarde palce szeregowca do krwi prawie wpiły się w jej ciało; dla Vilny jednak nie była to nowość. Drobnostkom takim poddawała się chętnie, jeżeli mogły one tylko przynieść ulgę cierpiącym.

Wzrok doktora Graya, jakby magnetyczną siłą pociągnięty, zawisł na dwóch tych dłoniach złączonych: na drobnej rączce szarytki i brunatnych palcach żołnierza, które ją zakrywały prawie. Wszak on nigdy dotąd dłoni jej nie dotknął, nigdy cudowne oczy dziewczęcia nie spoczęły na nim przyjaźnie, a przecież głębokie jak gwiazdy błyszczące źrenice jej zwracały się tyle razy ze słodyczą i współczuciem na najprostszego żołdaka, który konając klął jeszcze, wymyślał. Spokojny, ociężały, doktor Gray, niepomny brzydkich swych rysów i pospolitej postawy, nie mógł nigdy darować tej obojętności miss Lascelles. Za jeden jej uśmiech życzliwy byłby oddał wiele bardzo; siostra miłosierdzia jednak uśmiechała się tylko do chorych i cierpiących; zdrów, silny, a przytem leczący nie w jej nawet oddziale, cóż ją doktor Gray mógł obchodzić? Nie jestem zdobywcą serc niewieścich, nie mam krzyża zasługi i sławy bohaterskiego dowódzcy, powtarzał sobie z goryczą. I w rzeczy samej nie zdolny był współzawodniczyć z urodą takiego Castelnau'a, z jego nakazującą, szlachetną postawą, arystokratycznem nazwiskiem i wdziękiem rycerskim, którym kobiety ujmował. I jego-to właśnie, świetnego, rozgłośnego zwycięzcę walk ostatnich, oddano pod wyłączną opiekę tej młodziutkiej, uroczej istoty. Cóż dziwnego, iż, pocieszając go i pielęgnując, mogła pokochać zarazem.

Doktor zgrzytnął zębami, a odtrąciwszy myśli zazdrosne, pochylił się napowrót nad chorym. Rana przy pomocy siostry Vilny szybko opatrzoną została, tak, iż w obec środków usypiających, nieszczęsny człowiek popadł w pół marzenie, wśród którego ojczyzna, imię pułkownika i jakiejś w kraju zostawionej Marji ciągle na usta jego wracały.

— Powinnaś się już położyć, siostro — zauważył doktór Gray, chcąc cokolwiek przemówić do Vilny.

— O! nie teraz jeszcze — odparła. — Świta zaledwo, a mam chorych, potrzebujących ciągłej mej opieki. Żegnam pana.

I skłoniwszy zaledwo główkę, znikła na progu sąsiedniej sali.

Doktor Gray, wolny w tej chwili, mógł był skorzystać z wytchnienia i udać się na spoczynek; wzburzenie jednak nie usposabiało go do snu; opuszczając mury szpitala, postanowił świeżem odetchnąć powietrzem. Wspaniała podzwrotnikowa jutrzenka przybrała niebo w purpurę i złoto, piękność przyrody jednak była dziś martwą dla Graya. Zazdrość, szalona, szarpiąca zazdrość, podniecała wszystkie jego zmysły, odurzała mózg, pulsa w gwałtowne wprawiając bicie. Spokojny, panujący zazwyczaj nad sobą, Seweryn Gray miał ochotę ruchem gwałtownym ulżyć tłoczącemu go uczuciu; obawa wszakże przed okiem obcych kazała mu usiąść na pniu poblizkim i w ciszy jedynie szukać ukojenia.

I ta wszakże niedługo trwać miała. Odgłos kroków męzkich wskazał mu po chwili, iż samotność niedościgniona była mu marzeniem; ciemna zaś sylwetka, zarysowana na tle świtania, oznajmiła obecność jednego z życzliwych mu kolegów. Marek Bernays, niższy od Graya urodzeniem i stanowiskiem, a różniący się zarówno charakterem, jak temperamentem, nie należał do sympatycznych dla niego ludzi. Niemniej prawa koleżeństwa i wspólne zajęcia zbliżały ich, stawiając na dość poufałej stopie. Stąd też mały ten człowieczek, o bladej twarzy i wązkich wargach, o przenikliwych, z pod czoła patrzących oczach i ponurem wejrzeniu, włożywszy ręce w kieszenie, zbliżył się poufale, z cygarem w ustach, do Graya.

Czy towarzystwo jego było w tej chwili pożądanem, lub nie, Bernays nie zwykł zważać na podobne drobnostki. Niezrażony też bynajmniej milczeniem Graya, usiadł obok, a opierając rękę na jego ramieniu, ciągnął dalej:

— Nie powiodła ci się może operacya? umiera kto?

— Nie.

— Lakonizm nie przestraszał Marka; otrząsnąwszy też popiół z cygara, pytał po chwili:

— Musisz się cieszyć z ocalenia pułkownika. Dzielny żołnierz; trudno byłoby go zastąpić.

— Hm...

— Nie przepadasz za nim, jak widzę? skonstatował Bernays z krwią zimną. — No, nic dziwnego; pocieszę się jednak: pierwsza lepsza utarczka może go sprzątnąć i uczynić nieszkodliwym.

— Mówisz w zagadkach, — rzucił doktor Gray niechętnie.

— Och, bynajmniej! Poco zagadka? Czy sądzisz, że nie mam oczu, że nie rozumiem wszystkiego. Sprytny-ś ty, ale i ja nie głupi: chcesz chować tajemnicę, chowaj ją sobie, chociaż, dalibóg, poco to dumanie, nic a nic nie rozumiem. Złapałem cię parę razy na gorącym uczynku zachwytów, uprzedzam zaś, że ja memi małemi oczkami więcej widzę, niż kto inny dużemi, i dla tego właśnie twój czarny humor zdumiewa mnie, bo zkąd pewność, że Castelnau kocha się w twojej pięknej więcej od innych? Wszak oni tu wszyscy prawie głowy za nią tracą.

— Bierzesz mnie za szaleńca chyba — wybuchnął Gray z goryczą, odrzucając maskę tak starannie dotąd przybieraną, — za zarozumialca, który myśli walczyć z takim Castelnau? Zresztą, i przed jego przybyciem powodzenie nie zbyt mi się uśmiechało. Ludzie, podobni do mnie, nie zdobywają z łatwością serc niewieścich. Spojrzyj tylko i powiedz, czy, będąc młodą dziewczyną, zakochał byś się we mnie?

— No, co prawda, nie pilno-by mi było, — potwierdził Bernays z krwią zimną, — niemniej, Mylordzie, strzeż się zazdrości, i nie wyciągaj fałszywych wniosków.

— Proszę cię, dosyć tych żartów, — przerwał Gray ostro. — Nie jestem w humorze do konceptów.

— O i owszem, mogę milczeć. Znajduję jednak, iż zarząd źle czyni, wysyłając tak piękne szarytki do obozu.

Doktor Gray odwrócił się za całą odpowiedź i zniknął na progu szpitala.

— Biedaczysko, — mruknął Barnays, nie myśląc się bynajmniej szorstkością tą obrażać, — a to został silnie postrzelony. Boże, ileż-to niedorzeczności piszą poeci o miłości, a żadnemu nie przyjdzie na myśl, jak wiele złego czyni ona na świecie.

III.

W tydzień później łóżko pułkownika Castelnau przez kogo innego było już zajęte, dzielny zaś bohater walk ostatnich stanął ponownie na czele swego oddziału. Vilna, zapracowana jak zawsze, z podwójną gorliwością poświęcała się swemu zawodowi; miłość, zbudzona w jej sercu, była tak wielką, iż potęgą swą zdawała się opromieniać każdy szczegół życia, budząc tem silniejsze współczucie dla żołnierzy, dzielących trudy i niebezpieczeństwa z pułkownikiem Castelnau.

Dzień ten do wyjątkowo czynnych należał. Krwawa utarczka, stoczona o kilka mil dalej, zapełniła szpital rannymi i umierającymi. Zwycięstwo za to, choć drogo zdobyte, zostało jednak przy hufcach, wiedzionych do boju przez Wincentego Castelnaua.

Wieść, iż wyszedł bez szwanku ze starcia, dodała sił Vilnie; pomimo tego jednak, pomimo nawet rzadkiej wytrwałości, zaczęła już ku wieczorowi upadać pod nawałem pracy i znużenia. Spotkawszy ją też około dziesiątej wieczorem w głównej sali, doktor Norton zatrzymał się na chwilę.

— Proszę, abyś pani poszła i położyła się natychmiast, — wyrzekł rozkazująco. — Nie mam żadnej ochoty pozbawiać się pomocy twej w najgorętszej chwili.

— Wierzaj, doktorze, iż potrafię się jeszcze utrzymać czas jakiś na nogach, jakkolwiek jestem strasznie zmęczona.

— To wystarcza. Gdy ty, siostro Vilno, przyznajesz się do znużenia, kto inny byłby z pewnością doszedł do zupełnego sił wyczerpania! Nigdy nie widziałam tak wytrwałej, jak pani, dozorczyni, pomimo, że jesteś dzieckiem prawie. No, a teraz ani słowa, idź i połóż się natychmiast; cztery godziny snu, inaczej pogniewamy się na serjo!

Zmuszona do posłuszeństwa, Vilna nie udała się jednak wprost na spoczynek, lecz stanąwszy przy bramie, wiodącej do szpitala, sprobowała odetchnąć wpierw ciszą i spokojem cudownej księżycowej nocy. Ruch gorączkowy ustawał tu zupełnie. Ostatni zraniony żołnierz, przyniesiony na salę, odpoczywał pod opieką lekarzy, czar zaś i świeżość nocy kazały zapomnieć o panującej nieopodal nędzy i cierpieniach.

Wsparta o nizką furtkę, miss Lascelles pobiegła wyobraźnią ku narzeczonemu. Czy też wiedziony przeczuciem myślał o niej nawzajem, lub po dniu trudów i zwycięstwa zasypiał twardym snem żołnierskim? Odgłos kopyt końskich zbudził ją nagle z tej pół słodkiej, pół tęsknej zadumy; wierzchowiec zwrócił się ku bramom szpitala; serce Vilny uderzyło gwałtownie; w chwilę zaś później, jeździec, osadziwszy ruchem gwałtownym na miejscu rumaka, znalazł się obok niej z wyciągniętemi ramiony.

— Mój skarbie, moje życie! — wybiegło na stęsknione jego usta.

Słowa te były szeptem tylko, a jednak Vilna, przytulona do piersi narzeczonego, musiała w nich odczuć świat cały szczęścia i miłości. Pojął go nawet świadek ukryty, śledzący bacznie ruch ich każdy, świadek, który wtedy dopiero cofnął się ostrożnie, gdy pułkownik i siostra miłosierdzia zniknęli na progu szpitala.

. . . .

— Wincenty Castelnau ranny ponownie, mówiłeś doktorze? Czy... czy niebezpiecznie?

Głos siostry Vilny nie zadrżał nawet, zadając powyższe pytanie.

— Nie, podobno mogło być gorzej. Ale chodźmy do niego.

Poszła za doktorem krokiem pewnym, a asystując przy badaniu chorego, niosła pomoc żądaną z takim stoicyzmem, jak gdyby ranny nieznanym jej był człowiekiem. Gdy zaś lekarz zawyrokował wreszcie: „Nic niebezpiecznego,“ na usta jej wybiegło: „Chwała Bogu!“ tonem o tyle naturalnym, iż niktby nie odgadł, jaki ciężar spadł jej w tej chwili z piersi.

Krwawa to była potyczka. Trupów angielskich setkę przeszło podniesiono na placu boju, ile zaś żywych lub umarłych zabrali wrogowie, trudno było na razie obliczyć. Pod wieczór też dopiero zauważano nieobecność dra Graya, który w utarczce czynny brał udział. Napróżno staranne przedsiewzięto poszukiwania; kilka zwłok żołnierskich, zsiekanych do niepoznania, kazało mniemać, iż nieszczęsny Seweryn Gray znalazł śmierć w ich liczbie. Rodzinie pozostawała jedyna pociecha; iż czy zabity na polu walki, czy zgładzony podstępnie przez dzikich, zginął on zawsze śmiercią walecznych. Cichy, zamknięty w sobie, lecz uczynny i w pracy niezmordowany, młody lekarz pozostawiał ogólny żal po sobie. Wśród czynnego też obozowego życia nawet, nie był-by tak prędko zapomniany, gdyby sercem i umysłami wszystkich nie wstrząsnęła nagła a niespodziewana wiadomość. Wojna skończyła się podobno, armia zaś dostawała rozkaz powrotu do domu; dobrowolni wygnańcy mieli po ciężkich chwilach, spędzonych pod upalnem niebem Afryki, ujrzeć napowrót ukochaną ojczyznę. Dom, rodzina! Jakżeż te słowa mało dotąd znaczyły dla Vilny Lascelles. Osierocona od dziecka, przywykła już dom znajdować tam, gdzie ją obowiązek wzywał. Dziś jednak zmieniły się stosunki, dziś ognisko rodzinne oznaczało dla niej miłość męża, szczęście i spokój, a perspektywa ta wydawała jej się tak wspaniałą, tak promienną i blasku pełną, iż olśniona, obawiała się zatrzymywać dłużej nad nią, by obraz ułudny nie rozwiał się czasem.

Wincenty Castelnau, pomimo bogactw, wysokiego stanowiska i przyjaciół, nie zaznał również od czasów wczesnej młodości uroku szczęścia rodzinnego.

— Powrót do domu, do ojczyzny, — mówił do Vilny, gdy pozostali sami, — dla mnie, ukochana, równoważy się z pozyskaniem ciebie. Wiem, iż cenisz wysoko swoje powołanie, powiedz mi więc, najdroższa, czy odłożenie tego, — tu dotknął munduru jej, — wielką sprawi ci przykrość?

Dreszcz nerwowy wstrząsnął postacią Vilny, blade jej lica silniej jeszcze zbielały.

— Cicho, — wyrzekła z trwogą zabobonną. — Nie wymawiaj w złą godzinę, bo i tak czarne przeczucia oblegają mi duszę. Zamało przywykłam do szczęścia, ztąd zapewne uwierzyć mi w nie trudno, ztąd myśl, iż dola szarytki będzie zawsze mym udziałem, nie opuszcza mnie ani na chwilę.

Próbował pocieszyć ją, złe przeczucie jednak zwalczyć się nie dało. Snadź odgadywała, iż nieszczęście wyciągnąwszy nad nią dłoń swą kościstą, druzgotało w tej chwili nadzieję lepszej doli, że odtąd żaden promień jaśniejszy nie miał dla niej istnieć na ziemi.

. . . .

Stosownie do życzenia Vilny, pułkownik Castelnau nie wspomniał nikomu o projektowanym ich związku. Ztąd narzeczeni w obec świata obcymi sobie byli zupełnie. Wprawdzie rozkaz powrotu na jednym łączył ich okręcie; pułkownik jednak, nie chcąc ściągać zbytecznej uwagi na piękną siostrę miłosierdzia, trzymał się na uboczu, znajdując czasem tylko, wśród szarej godziny, sposobność do poufnej, bliższej sercu rozmowy, niż szablonowa, przy wszystkich prowadzona gawędka.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak